

Powiat



Nr 11-12 (177-178), Listopad-Grudzień 2015
Rok XV * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Polistopadowe echa
Pracujemy dla regionu
„Promyk” z Potęgowa
Zakochany w... rowerach
Ślub na spełnione życie
Ta tragedia jest ciągle żywa
Urzeka swoją twórczością
„Bracia patrzcie jeno...”
Wieś Tworząca

Świąt wypełnionych radością
i miłością, niosących spokój
i odpoczynek, Nowego Roku
spełniającego wszelkie marzenia,
pełnego optymizmu, nadziei,
szczęścia i powodzenia
życzą

Jan Olech
Jan Olech
Przewodniczący
Rady Powiatu Słupskiego
wraz z Radnymi

Łdzisław Kłobudzki
Łdzisław Kłobudzki
Starosta Słupski
wraz z pracownikami



POMORSKI STÓŁ BOŻONARODZENIOWY WŁYNKÓWKO, GRUDZIEŃ 2015



**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

1 grudnia 2014 roku na pierwszym posiedzeniu Rada Powiatu wybrała mnie starostą słupskim na najbliższą kadencję. Podczas inauguracyjnej sesji jeden z dziennikarzy dopyttywał mnie i radnych, kiedy uznamy kadencję za udaną? Większość radnych mówiła wówczas, że kiedy poprawi się stan dróg powiatowych, zmniejszy bezrobocie, pozyskamy środki zewnętrzne. Na podsumowanie 4-letniej kadencji jest oczywiście za wcześnie, ale można pokusić się o podsumowanie pierwszego jej roku.

Od 1 stycznia 1999 roku, czyli od początku funkcjonowania powiatów

najtrudniejszym zadaniem jest utrzymanie dróg powiatowych w zadawalającym stanie, nie wspominając o zadaniach inwestycyjnych. Powiat słupski odpowiada za około 600 kilometrów dróg, co przy niewielkim budżecie i skąpych możliwościach pozyskiwania środków zewnętrznych jest zadaniem karkołomnym. Nie poddajemy się jednak i w tym roku przeznaczaliśmy na remonty dróg powiatowych razem z gminami i nadleśnictwami blisko 11,5 mln zł. Ogłoszona została już wstępna lista rankingowa Programu Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej dla województwa pomorskiego i wynika z niej, że nasz tegoroczny wniosek otrzyma maksy-

malne dofinansowanie, w wysokości 3 mln zł. Dzięki niemu będzie można przebudować kolejne odcinki dróg i te roboty, które zaplanowaliśmy w tym programie w 2016 roku plasować będą nas na drugim miejscu wśród wszystkich powiatów w województwie.

Oprócz remontów dróg i pozyskiwania środków zewnętrznych, dla samorządu powiatowego niezwykle istotne jest bezrobocie. Stanowiło ono w ostatnich latach jeden z najtrudniejszych problemów społeczno-gospodarczych. Tym bardziej z ogromną satysfakcją obserwuję ostatnie dane statystyczne, które jednoznacznie wskazują na poprawę sytuacji w tym zakresie.

W kończącym się roku znacznie spadła liczba bezrobotnych zarejestrowanych w Powiatowym Urzędzie Pracy. Na koniec listopada było ich 7937, tj. o 2683 (1/4) mniej niż w listopadzie 2014 roku. To duża zasługa firm działających na naszym rynku, samych bezrobotnych i Powiatowego Urzędu Pracy, który przeznaczył spore środki na wsparcie bezrobotnych. Łącznie z różnych form wsparcia skorzystało już ponad 2,1 tys. osób.

Jeżeli kolejne lata okażą się równie dobre, jak mijający rok, to myślę, że będzie można uznać kadencję 2014 - 2018 za udaną.

W numerze:

- 2 Ważne uchwały
- 2 Z ambasadorem o tarczy
- 2 Obchody święta niepodległości
- 3 Prośba o wznowienie rozmów
- 3 Powiatowy Nordic Walking
- 3 Nauczyciel przedsiębiorczości
- 4 Zagrali instrumentalści - soliści
- 4 „Krzywa bajka” wygrała
- 4 Na najwyższym podium
- 5 By było bezpiecznie
- 5 Literacka kuchnia
- 5 Młodzi aktywni
- 5 Koszykarze dzieciom
- 6 Polistopadowe echa

posuniętego rozwoju techniki nie sposób jest żyć bez polityki.

8 Pracujemy dla regionu



Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna obejmuje dziś swoim zasięgiem dziewięćset hektarów gruntów inwestycyjnych w środkowej części Pomorza, z czego blisko trzysta hektarów terenów strefowych zlokalizowanych jest w samym powiecie słupskim.

10 Początek współpracy

12 „Promyk” z Potęgowa



Zawsze jest więcej tych, którzy chcą brać, a mniej tych, którzy chcą lub mogą dawać. Dlatego organizacje takie jak Fundacja „Promyk Solidarności” z Potęgowa - są na wagę złota.

14 Pochodzę ze wsi i tego się nie wstydzę

17 Na wyciągnięcie ręki

18 Zakochany w... rowerach



O wielkiej pasji Euzebiusza Marciniaka niechaj świadczy wielokrotnie pokonywanie rowerem odległości Bytów - Koszalin, liczącej ponad sto kilometrów (przez Suchorze, Korzybie) i drugie tyle z powrotem.

22 Ślub na spełnione życie

24 Ta tragedia jest ciągle żywa...



Jeszcze żyje wielu świadków traumatycznych wydarzeń na Wołyniu. Domagają się ujawnienia prawdy o ludobójczej zbrodni dokonanej przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach.

26 Karmienie wyobraźni, i gołębi, jesienią

28 Sześćdziesiąt lat w pałacu

30 Radosna szkoła

31 Nasze rocznice

32 Urzeka swoją twórczością

34 „Bracia patrzcie jeno...”



Nie ma drugiego takiego kraju na świecie, gdzie

by Wigilię Bożego Narodzenia obchodzono tak uroczysto jak u nas. Nigdzie też z dniem tym, a zwłaszcza z wigilijną nocą, nie wiązano tylu wierzeń i proroctw.

35 „Ottomania” w Narodowym

36 Czytać każdy może



W tym roku honorowym gościem Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie była Litwa. Niewątpliwym bestsellerem z tego kraju może stać się książka Vandy Luknaitė pt. „Słowa w ciemności”.

37 Konfrontacje w „Rondzie”

38 „Kraina uśmiechu” pełna... śmiechu

39 Widownia była oczarowana

40 Ukrywanie części opłat



W dobie głębokich przemian społecznych, w czasach daleko

Ważne uchwały

Na XIII sesji Rady Powiatu Słupskiego starosta Zdzisław Kołodziejcki wręczył Anatoliuszowi Mikuckiemu - emerytowanemu pracownikowi rolnictwa honorową odznakę „Zasłużony dla Rolnictwa”.

Słupsku, w Centrali Nasiennnej oraz inspekcjach nasiennych i ochrony roślin. Mimo iż przeszedł w 2008 roku na emeryturę, do dziś pracuje zawodowo dzieląc się swoim doświadczeniem i praktyką z młodszymi pracownikami firm rolniczych. Jest wykwalifikowanym specjalistą w zakresie wytwarzania,

gi dla Województwa Słupskiego, Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Medalem za Długoletnią Służbę. Po odebraniu odznaki przyznanej mu przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi, podziękował, za to wyróżnienie.

Po złożeniu przez starostę Z. Kołodziejckiego sprawozdania z działalności Zarządu Powiatu oraz z wykonania uchwał Rady Powiatu Słupskiego, rada przyjęła informację o stanie realizacji zadań oświatowych w roku szkolnym 2014/2015. Następnie głosowano kolejne projekty uchwał ujęte w porządku obrad sesji.

Na podkreślenie zasługuje zwłaszcza przyjęcie trzech uchwał - w sprawie określenia rozkładu godzin pracy aptek ogólnodostępnych w 2016 roku, przyjęcie Programu współpracy powiatu z organizacjami pozarządowymi na 2016 rok i określenia szczegółowych wa-

runków umorzenia w całości lub w części, łącznie z odsetkami, odroczenia terminu płatności, rozłożenia na raty lub odstępowania od ustalenia opłaty za pobyt dziecka z rodzinnej lub instytucjonalnej pieczy zastępczej. Pierwsza ustala również dyżury aptek w niedziele i święta oraz w porze nocnej - określa ich dostępność dla mieszkańców. Druga szczegółowo określa obszary zadań publicznych, jakie powiat słupski będzie zlecał w 2016 roku do realizacji organizacjom pozarządowym oraz wysokość środków publicznych o jakie będą mogły się one ubiegać. Trzecia jest też ważna, bo reguluje nie tylko kwestie opłat za pobyt dzieci w tzw. instytucjonalnej pieczy zastępczej, ale określa sytuację, kiedy będzie można od nich odstąpić, i jak się zachowywać w przypadku trudnej ich ścigalności. (A.K.)



Fot. J. Maziejuk

Anatoliusz Mikucki ma 51-letni staż pracy zawodowej, pięćdziesiąt lat poświęcił na pracę w rolnictwie. Pracował w Zakładach Ziemniaczanych w

przechowywania i obrotu materiałem siewnym oraz kontroli jego jakości. Za wieloletnią, przykładową pracę został uhonorowany m.in. Medalem za Zasłu-

Z ambasadorem o tarczy

W Słupsku ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Paul Jones spotkał się z samorządowcami.

W spotkaniu, oprócz samorządowców reprezentujących województwo pomorskie, gminę Słupsk oraz Pomorską Agencję Rozwoju Regionalnego udział wzięli starosta Zdzisław Kołodziejcki. Rozmowa dotyczyła przede wszystkim budowanej w Redzikowie tarczy antyrakietowej oraz inwestycji z nią związanych. Ambasador odpowiadał na obawy samorządowców dotyczą-

ce bezpieczeństwa ludności zamieszkującej w bezpośrednim sąsiedztwie bazy. Przekonywał, że sam fakt stacjonowania 200 amerykańskich żołnierzy w bazie, będzie gwarantem bezpieczeństwa, bowiem rząd Stanów Zjednoczonych nie naraził by swoich obywateli na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Ważnym poruszoną tematem były kwestie związane z ograniczeniami inwestycyjnymi, które obejmują obszar 35 km od tarczy. Jak zauważono podczas spotkania, w Słupskiej Strefie Ekonomicznej zlokalizowane są inwestycje pocho-



Fot. PARR Słupsk

dzące z różnych państw, nie natomiast inwestycji z kapitałem amerykańskim. Ambasador obiecał przekazać informacje o strefie firmom amerykańskim zainteresowanym inwestycja-

mi w Polsce. Zadeklarował również współpracę w takich dziedzinach, jak edukacja i kultura.

Starosta słupski na pamiątkę spotkania wręczył ambasadorowi szachy z logo powiatu. (P.L.)

Obchody święta niepodległości

Władze powiatu słupskiego godnie uczliły 97. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

Starosta słupski Zdzisław Kołodziejcki z radnymi powiatu - Bożeną Przyborowską i Grzegorzem Grabowskim wzięli udział w uroczysto-

ściach w Słupsku przy Pomniku Żołnierza Polskiego. Złożyli kwiaty i oddali należny hołd weteranom walk o narodową niepodległość.

Usteckie obchody listopadowej rocznicy rozpoczęły się mszą świętą w kościele p.w. NMP Gwiazdy Morza. Po mszy odbywały się pod Pomnikiem

Polskiego Państwa Podziemnego. Władze powiatu reprezentowali na nich - wicestarosta Rafał Konon i przewodniczący Rady Powiatu - Jan Olech.

Po oficjalnych obchodach w Słupsku i Ustce, odbył się w Słupsku III Bieg Niepodległości, do którego stanęło 500 biegaczy, a ukończyło 425. Zwyciężył Paweł Piotraschke ze Szkoły Policji w Słupsku. (A.K.)



Fot. J. Maziejuk

Prośba o wznowienie rozmów



Fot. Archiwum

Na konwencie w Potęgowie wójtowie i burmistrzowie podjęli stanowisko w sprawie rekompensat za usytuowanie w Redzikowie trasy antyrakietowej.

Podczas konwentu wójtów i burmistrzów, starosta słupski Zdzisław Kołodziejowski podziękował Janowi Plutowskiemu - zastępcy wójta gminy Kobylnica za długoletnią współ-

pracę. Po trzydziestu siedmiu latach pracy w administracji odchodzi on na emeryturę.

Gospodarz gminy - wójt Dawid Litwin zaproponował uczestnikom konwentu obejrzenie filmu promującego gospodarcze walory Potęgowa. Następnie Marusz Chmiel - prezes Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Słupsku podsumował działania, które wymusiła na samorzą-

dach zmiana ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach.

Gruntowna reforma systemu gospodarki odpadami komunalnymi miała doprowadzić do ograniczenia ich składowania na składowiskach, osiągnięcia wymaganych poziomów recyklingu i odzysku innymi metodami wybranych frakcji odpadów, pochodzących z gospodarstw domowych. Zmiany miały również na celu poprawę stanu środowiska, poprzez uszczelnienie systemu gospodarowania odpadami oraz ograniczenie, a w konsekwencji wyeliminowanie tzw. „dzikich wysypisk” lub praktyki palenia odpadów w domowych piecach.

Podczas dyskusji najwięcej emocji wywołały zapisy ustawy o wymaganych poziomach ograniczania odpadów ulegających biodegradacji. Okazało się, że większość gmin przekracza limity. W związku z tym w

marcu przyszłego roku Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej zorganizuje spotkanie poświęcone tej sprawie.

Mariusz Ożarek - dyrektor Zarządu Dróg Powiatowych i omówił inwestycje drogowe realizowane w bieżącym roku i przedstawił również inwestycje, które mają być realizowane w 2016 roku ze środków Programu Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej. Wójtowie poruszyli temat słabego wykonawstwa zleconych w przetargach robót.

Na zakończenie obrad wójtowie i burmistrzowie podjęli stanowisko w sprawie rekompensat za usytuowanie w Redzikowie trasy antyrakietowej. W związku ze zmianą rządu postanowiono wysłać je do premier Beaty Szydło z prośbą o wznowienie rozmów dotyczących rekompensat dla regionu słupskiego.

Paweł Lisowski
Słupsk

Powiatowy Nordic Walking

Ponad 100 uczestników stanęło na starcie w Bydlinie do Powiatowego Marszu Nordic Walking.

Organizatorzy przygotowali dla uczestników marszu dwie trasy - 3 i 6-kilometrową. Piechurów poprowadzili doświadczeni trenerzy - olimpijczyk Jan Huruk i Krzysztof Anioł - instruktor z gminy Słupsk. Mariola Kasprzak z

Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi” przygotowała edukacyjną zabawę, której bohaterem był rak szlachetny.

Wśród uczestników marszu rozlosowano nagrody rzeczowe, a specjalnym wyróżnieniem uhonorowano najstarszego piechura, 86-letniego - Józefa Rospierskiego z Lubczewa. Wyruszył on na dłuższą trasę i swoją kondycją zawstydził wielu młodszych uczestników marszu. (ck)



Fot. J. Maziejuk

Nauczyciel przedsiębiorczości

Beata Trofimowicz z Zespołu Szkół Samorządowych w Kobylnicy została Najlepszym Nauczycielem Przedsiębiorczości w województwie pomorskim.

Narodowy Bank Polski po raz dziesiąty zorganizował w Warszawie uroczystą Galę Klubu Przedsiębiorczych Nauczycieli Impuls. Tegoroczna ceremonia - z udziałem m.in.



Fot. Archiwum

Joanny Kluzik-Rostkowskiej - minister edukacji narodowej odbyła się w Centrum Nauki Kopernik. Była okazją do podsumowania całorocznej pracy nauczycieli, którzy w roku szkolnym 2014/2015 realizowali projekty edukacyjne Narodowego Banku Polskiego.

Najbardziej przedsiębiorczymi nauczycielami województwa pomorskiego w kategorii szkół gimnazjalnych zostały: Beata Trofimowicz z Zespołu Szkół Samorządowych

w Kobylnicy i Grażyna Ruszkowska z Gimnazjum nr 1 w Łęborku.

B. Trofimowicz prowadzi Szkolny Klub Przedsiębiorczości. Od dwóch lat w ofercie edukacyjnej gimnazjum, w którym uczy znajdują się też dodatkowe zajęcia z zakresu przedsiębiorczości, których jest animatorką. Na co dzień, oprócz podstaw przedsiębiorczości uczy jeszcze historii i wiedzy o społeczeństwie. (J.W.)

Zagrali instrumentalniści – soliści

W sali widowiskowej Gminnego Ośrodka Kultury w Potęgowie odbył się II Powiatowy Przegląd Solistów- Instrumentalistów.

Boniecką oraz Pawła Bałbana (gitara) z Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku, Szymona Kiżewskiego (trąb-

ka) z Zespołu Szkół w Nakli i Wiktoria Celban (gitara) z Potęgowa.

W kategorii gimnazjalistów zwyciężyła Patrycja Groch (gitara klasyczna) z Młodzieżowe-

go Domu Kultury w Słupsku. Kolejne miejsce zajęły - Zuzanna Fitowska (flet) z Państwowej Szkoły Muzycznej w Łęborku i Magdalena Wietrzyńska (gitara klasyczna) z Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku.

Wśród dorosłych laureatami zostali: Piotr Fitowski (piano) z Łęborka, Magdalena Czerwonka (puzon) z Orkiestry Dętej przy Bytowskim Centrum Kultury i Wiktoria Kosowska (perkusja).

Grand Prix przyznano Tomaszowi Spoczyńskiemu z Państwowej Szkoły Muzycznej w Łęborku, który zaprezentował swoje umiejętności gry na akordeonie guzikowym. (**gok**)



Fot. Archiwum

„Krzywa bajka” wygrała

Grupa „Kurtynka” ze Szkoły Podstawowej w Słonowicach była najlepsza na IV Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Wiejskich „WIEJSZTUK 2015”.

Przegląd odbył się 10 listopada w bylej wozowni w Warcinie. Ma na celu popularyzację sztuki teatralnej wśród dzieci i młodzieży oraz szerzenie kultury żywego słowa. Tegoroczni zwycięzcy, podopieczni Jolanty Majerowskiej, zaprezentowali spektakl pt. „Krzywa bajka”. Pełna humoru opowieść zyskała największe uznanie jury, przede wszystkim za bardzo dobrą grę aktorską i

ciekawe przedstawienie losów mieszkańców „krzywego królestwa”, którym wielu kłopotów przysparzał złośliwy chochlik. To za jego sprawą bohaterom bajki przyszło żyć w pochyłym, rozpadaającym się zamczysku. Jednak, jak to w bajkach bywa, wszystko skończyło się szczęśliwie.

Drugie miejsce zajęła grupa „Koniki Polne” z Zespołu Szkół w Biesowicach. Zaprezentowała przedstawienie pt. „Kukułka”, przygotowane pod kierownictwem Katarzyny Krajewskiej. Trzecie miejsce przypadło zespołowi „Figlarz” ze Szkoły Podstawowej w Bierkowie za spektakl „Baśniowy ambaras”,

przygotowany pod opieką Patrycji Olszewskiej i Agnieszki Jasińskiej.

Poczynania młodych aktorów śledziła publiczność ze

Szkoły Podstawowej w Warcinie, a nagrody laureatom wręczył starosta Zdzisław Kołodziejski, który nie szczędził im słów uznania. (**M.S.**)



Fot. J. Maziejuk

Na najwyższym podium

Uczniowie Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy pojadą na Białoruś na Mistrzostwa Świata w Warcabach.

13 listopada w Miłakowie odbył się IX Ogólnopolski Turniej w Warcabach „Sprawni Razem” o randze Mistrzostw

Polski SOSW. Wzięli w nim udział również uczniowie ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy - Damian Kirko, Adam Czub i Piotr Biłyk. W zawodach uczestniczyło w sumie 17 drużyn z województw: wielkopolskiego, zachodnio-pomorskiego, pomorskiego, warmińsko-mazurskiego, kujawsko-pomorskiego, mazowieckiego i lubelskiego oraz z obwodu kaliningradzkiego Federacji Rosyjskiej.

Duży sukces odnieśli uczniowie SOSW z Damnicy,

zajmując I miejsce w warcabach klasycznych na długi czas i I miejsce w warcabach klasycznych w grze błyskawicznej. Tym samym zakwalifikowali się na Mistrzostwa Świata na Białorusi.

Mistrzów Polski po powrocie z zawodów przyjął starosta słupski Zdzisław Kołodziejski i pogratulował im sukcesu. Do tych gratulacji przyłączyli się - wicestarosta Rafał Konon i Maria Janusz - dyrektor ośrodka. Opiekunami młodych zdolnych sportowców są nauczycielki - Ewa Szada-Borzyszkowska i Mirosława Korda. (**A.K.**)



Fot. A. Krasowicki

By było bezpieczniej

Rola organizacji pozarządowych w kreowaniu bezpieczeństwa może być duża.

Organizacje pozarządowe za pozyskane od samorządów fundusze mogą reali-

zować na potrzeby poprawy bezpieczeństwa i porządku publicznego różne programy edukacyjno-profilaktyczne, przy pomocy których docierają do społeczności lokalnej. Prowadzą zajęcia z dziećmi, młodzieżą, a także osobami dorosłymi.

Przybierają one najczęściej formę prelekcji, dyskusji czy pokazów multimedialnego.

Jednym ze stowarzyszeń, które od kilku lat działa na rzecz bezpieczeństwa publicznego jest Stowarzyszenie „Bezpieczny Regin Słupski”. Zrealizowało już kilka programów dotyczących bezpieczeństwa miesz-

kańców powiatu słupskiego, w tym także dzieci i młodzieży szkolnej.

Bezpieczeństwo mieszkańców poprawiane jest także dzięki współpracy organizacji pozarządowych z Policją i wolontariuszami, którzy angażują się w wiele działań.

Robert Czyż, Słupsk

Literacka kuchnia

Bez pasji trudno osiągnąć sukces. Potwierdza to Ogólnopolski Konkurs Gastronomiczny Literacka Kuchnia.

Konkurs w województwie pomorskim organizowany jest pod patronatem honorowym m.in. marszałka Mięczyława Struka. Uczniowie w zespołach dwuosobowych, inspirowując się literaturą piękną mają za zadanie wykonać zakąskę, deser i przygotować prezentację dotyczącą wybranych

Fot. P. Sokółowski



tekstów literackich. W tegorocznej edycji konkursu trzecie miejsce za najlepszą prezentację kulinarną i literacką zdobyli uczniowie Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku. Patrycja Korochocka i Malwina Kaczmarczyk wybrały za swoją kulinarną inspirację m.in. „Zbrodnię i karę” Fiodora Dostojewskiego, „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej, „Ludzi bezdomnych” S. Żeromskiego i „Dziadka do

orzechów” E. Hoffmanna.

Lektury te pozwoliły im przygotować salatkę z dorsza atlantyckiego, marynowanego w białej herbacie w... asyście dressingu malinowego oraz lasagnię z dyni i buraka na... tiulu orzechowym z salsą z ananasa i marakui. Młodzież z ZSA po raz już drugi brała udział w tym konkursie na szczeblu ogólnopolskim. Rok temu zespół w składzie: Kamil Siatkowski i Krzysztof Garczyński z klasy czwartej technik kucharz zajął drugie miejsce w kategorii „zakąska”.

Elżbieta Soroka, Słupsk

Młodzi aktywni

Realizowany od 1955 roku program „Młodzi głosują” pokazuje, że młodzi ludzie potrafią być aktywnymi oraz świadomymi obywatelami.

Jest to program edukacji wyborczej, który zachęca do rozmawiania z młodzieżą na tema-

ty publiczne. To także działanie w grupie i ćwiczenie umiejętności organizacyjnych. Realizując program, 19 października w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku przeprowadzono symulację wyborów parlamentarnych. Zorganizowano lokalny wybory, głosowanie odbyło się z zachowaniem wszelkich procedur poprawności. Frekwencja wyniosła 73 procent! Przed wy-

borami przeprowadzono liczne zajęcia informacyjne. W klasach pierwszych i drugich na lekcjach wiedzy o społeczeństwie przybliżono młodzieży zasady wyborów oraz wskazywano na znaczenie demokratycznej procedury.

Program „Młodzi głosują” wyrabia u młodzieży nawyk głosowania i przyczynia się do kształtowania postaw obywatelskich. - Aby nie zo-

stać biernym dorosłym, trzeba doświadczyć własnej aktywności obywatelskiej już w młodości - uważa dr Jacek Strzemieczny, prezes Fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej. - Głos oddany do szkolnej urny przez młodych ludzi jest dla nich często pierwszą szansą wyrażenia własnego zdania w sprawach ważnych dla kraju.

Piotr Frejtak, Słupsk

Koszykarze dzieciom

Dzięki uprzejmości klubu Energa Czarni pięćdziesięcioro dzieci z powiatowych domów dla dzieci w Ustce i Słupsku mogło obejrzeć na żywo w akcji trzecią drużynę koszykarską w Polsce.

Koszykarze klubu Energa Czarni uwielbiają grać dla słupskiej publiczności, zwłaszcza gdy są wśród niej żywiłowo reagujące dzieci. Dlatego słupski klub systematycznie wspiera

placówki szkolne i wychowawcze, zapraszając ich podopiecznych na mecze ligowe z udziałem Czarnych Panter.

Tym razem, na mecz z Treflem Sopot, prezes STK SSA - Andrzej Twardowski zaprosił dzieci z pięciu domów dla dzieci w Ustce i Słupsku. Bilety osobiście przekazał Rafałowi Kononowi - wicestaroście słupskiemu oraz Aurelii Anioł - dyrektor powiatowej placówki.

Wychowankowie ich wychowawcy mogli obejrzeć na ży-



Fot. Archiwum

wo trzecią drużynę koszykarską w Polsce. Doping okazał się sku-

teczny, bo Czarni Słupsk wygrali z koszykarzami z Sopotu. (P.L.)

Polistopadowe echa

W dobie głębokich przemian społecznych, w czasach daleko posuniętego rozwoju techniki nie sposób jest żyć bez polityki.

Tuż przed świętem niepodległości w kraju pojawiły się wichury. W niektórych miejscowościach silny wiatr łamał gałęzie i przewracał stare drzewa. Front pogodowy zepsuł organizatorom wiele świątecznych imprez. Piękne jesienne widoki listopada nagle z dnia na dzień zmieniły oblicza.

Przed wszystkim z drzew zniknęły kolorowe liście, opustoszały parki, a puste gałęzie odsłoniły wiele mniej ciekawych przestrzeni, które wcześniej ukrywała zieleni.

W przyrodzie jak w życiu, jest pięknie jak jest pogoda. Jak grzeje słońce, kwitną kwiaty, zielenią się drzewa. I na odwrót: w życiu jak w przyrodzie. Analogiczny front „zmiany pogody” przeszedł przed listopadowym świętem przez Polskę, czyniąc gwałtowne spustoszenie w dotychczasowych układach rządowych.

Hasło wyborcze „Czas na zmiany!” doczekało się realizacji. Dla po-

lityków zasiadających w ławach rządowych i od dłuższego już czasu ogarniętych paniką zmieniła się pogoda. Ożyły społeczne nadzieje, że pierwsza od czasów transformacji przegrana sił postkomunistycznych, otworzy Polsce drogę ku pełniejszej normalizacji życia społecznego. Że zatrzymany czasowo proces przemian znów ruszy drogą wytyczoną przez polskiego papieża Jana Pawła II, że naród, który „już się nie lęka”, w którym pierwszy w skali świata robotnik Lech Wałęsa dokonał przewrotu rewolucyjnego zmiany ustroju z socjalistycznego na kapitalizm, zacznie wreszcie budować zapowiadany kapitalizm z ludzką twarzą.

Pamiętam czasy, gdy społeczeństwo nie interesowało się polityką, a polityk był kimś wyjątkowym. Był człowiekiem na świeczniku. Ludzi nie wciągano w politykę, wręcz przeciwnie, politykowanie stanowiło dla

nich zagrożenie. Pamiętam ten pozorny, wymuszony strachem spokój, gdy należało mieć „jedynie słuszne” poglądy i ufać „jedynie słusznej” partii. Nie upubliczniano obrad z posiedzeń sejmu, nie podsłuchiowano polityków, a politycy nie spiskowali przeciwko państwu. Nikogo nie interesowało kto za kim stoi, ani kto z kim ma interesy i dlaczego. Nie sprzedawano po kawalku Polski, nie było obcych banków, a jesienią jeśli słychać było jakieś echa, to tylko jesiennego wiatru.

Polityka w ostatnim czasie wielu ludziom po prostu dała się we znaki. Jej przesyt doskwierał, mącił w głowach, zaprzętał niepotrzebnie myśli. Sam wielokrotnie łapałem się na tym, że zamiast oglądać zapowiadany ciekawy film na TVP Historia lub ciekawy reportaż w Discovery, marnuję czas na oglądaniu głupawych przepychanek słownych jakichś posłów, wysłuchuję na nie najciekawszy temat pokrętnych wypowiedzi dziennikarzy.

W dobie głębokich przemian społecznych, w czasach daleko posuniętego rozwoju techniki nie sposób jest żyć bez polityki. Polityka kreuje rozwój państw, z jej pomyślności rodzi się pokój i dobrobyt. Zatem szanujmy polityków. Zanim jednak do





Fot. KPRM

tego dojdzie, należy dążyć do tego, by byli oni wybranymi spośród tych, którym naprawdę ufamy. A jeśli już zaufaliśmy im, powinniśmy ich pilnować, by nas nie oszukiwali. Patrzeć im na ręce.

Ostatnie wybory parlamentarne w Polsce zaskoczyły wielu, odbiły się też szerokim echem za granicami Polski. Do końca byli tacy, którzy nie wierzyli w wygraną Prawa i Sprawiedliwości. Którzy mieli nadzieję, że jeśli nie wygrana PO, to chociaż kombinacja procentowego dorobku solidary-

zujących się z nią ugrupowań pozwoli utrzymać dotychczasową władzę.

Straszenie PiS-em nie skończyło się, a niezadowolenie z jego zwycięstwa nadal w wielu kręgach czyni zamęt. Pojawiły się nawet złośliwości, że to zwycięstwo jest dobrym prognostykiem dla Putina, bo oczekiwane awanturnictwo polityczne Polski może usprawiedliwiać jego kolejne wojenne posunięcia wobec Ukrainy. A Angela Merkel pozwoliła sobie nawet na stwierdzenie, iż Niemcy i ich europejscy sojusznicy w ważnych sprawach nie będą na serio traktować nowego rządu w Polsce, będą traktować go marginalnie.

Echa takich poburkiwań dowodzą, że listopadowa zmiana, jaka dokonała się w Polsce, sypnęła piachu w tryby napędowe polityki niemieckiej. A to oznacza z kolei, że Polska może stać się przysłowiową kłodą na drodze budowania niemieckiej dominacji w Europie.

Wszyscy dzisiaj wiedzą, że pomyślność kraju zależy od rządzących, ale nie wszyscy mogą mieć świadomość tego, jak mocno rządzących wiązą pieniądze. Nie wszyscy wiedzą, albo doceniają, jak głęboko międzynarodowe interesy wiązą polityków. Jaki wielki wpływ na politykę mają światowe korporacje finansowe i układy biznesowe. Jeśli Unia Europejska wpompowała w Polskę jakieś pieniądze, to na pewno nie była to jałmużna, to jej musi się zwrócić. Przypomnijmy sobie tylko niedawne czasy sprzed transformacji, gdy polityka Raegana wspierała opozycję w Polsce.

W przeddzień listopadowego święta i w samą rocznicę niepodległo-

ści przez kilka dużych miast przeszły manifestacje narodowców. W Warszawie manifestowało ich około stu tysięcy. Dużo to, czy mało? Jeśli napiszę, że w Polsce jest obecnie 100 tysięcy bezdomnych, odpowiedź na usta ciśnie się sama.

Obserwowałem taki marsz w Gdańsku. Narodowcy wznosili hasła, które wśród wielu polityków, a i obserwatorów również mogły siać niepokój, budzić strach. Widziałem kim są. To młodzi zbuntowani ludzie, którzy nie chcą na życie zarabiać poza granicami kraju. To nie starsi panowie i kobiety od radia Maryja, lecz młodzież, której na sercu leży przyszłość kraju i pomyślność ich rodzin. Której nie podoba się ekspansywny, złodziejski proceder uprawiany na Polakach przez obce banki, wynaradawianie Polski poprzez odpływ młodych wykształconych ludzi z kraju, którzy nie godzą się na afrykanizację Europy, a zwłaszcza Polski i przyjmowanie muzułmanów. Przeciwni są dominacji niemieckiej w polityce europejskiej. To ludzie, którzy za kilka, kilkanaście lat będą rządzić w Polsce. Pamiętajmy o tym.

Mamy nowego prezydenta, nowy rząd - nowych ministrów. Czas dobrej pogody dla poprzedników minął, wiatr historii zamknął za nimi ostatnie drzwi, otworzył okiennice okien naszych domów na nową - mam nadzieję dobrą - pogodę, dla nowej władzy.

Opadły z drzew stare liście, wiatr zmiotł je w głębokie doły z naszych oczu. I tylko echa jesiennej wichury co przeszła przez kraj, będą jeszcze jakiś czas pohukiwać w oddali.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz



Pracujemy dla regionu

Z prezesem Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. w Słupsku – Mirosławem Kamińskim rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

- W 1997 roku, po transformacji ustrojowej, w wyniku decyzji władz centralnych została powołana Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna do realizowania istotnych celów strategicznych w rozwoju gospodarczym regionu. Strefą tą od początku zarządza Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A. Czy spełnia swoje cele?

- Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna obejmuje dziś swoim zasięgiem dziewięćset hektarów gruntów inwestycyjnych w środkowej części Pomorza, z czego blisko trzysta hektarów terenów strefowych zlokalizowanych jest w samym powiecie słupskim. W ramach strefy funkcjonuje siedemnaście podstref inwestycyjnych na terenie województwa pomorskiego oraz zachodniopomorskiego. Przedsiębiorcy zatrudniają blisko cztery tysiące osób, a na projekty inwestycyjne przeznaczyli ponad 1,4 miliarda złotych. Szacuje się, że jedno miejsce pracy w strefie, dzięki nawiązywanej współpracy, w zależności od branży i jej specyfiki, daje od jednego do dwóch etatów w firmach pozastrefowych. Przedsiębiorcy ze Słupskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej kooperują z partnerami z różnych sektorów gospodarki, stąd jej działalność ma wpływ na gospodarkę nie tylko lokalną, ale także krajową. Firmy w niej działające coraz częściej realizują projekty badawczo - rozwojowe i wprowadzają innowacyjne rozwiązania w procesach produkcyjnych. Dla samorządów Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna jest szansą na pozyskanie inwestorów, zmniejszenie bezrobocia oraz rozwój infrastruktury lokalnej. Dla gminy decyzja o inwestycji oznacza nie tylko nowe miejsca pracy i szansę na zmniejszenie bezrobocia sięgającego nawet 24 procent, ale przede wszystkim wzrost gospodarczy poprzez rozwój infrastruktury technicznej i społecznej. To także budowa relacji między firmami już istniejącymi na rynku z inwestorami strefowymi. Dla gminy współpraca ze spółką zarządzającą strefą przynosi

si również korzyści w postaci wzrostu poziomu świadomości i wiedzy na temat właściwego przygotowania oferty inwestycyjnej, sprawniejszej obsługi inwestorów i szybszego przebrnięcia przez procedury administracyjnoprawne.

Dziś już nie wystarczy wskazać inwestorowi świetnie zlokalizowany teren do zagospodarowania. Aby mogły na nim powstać inwestycje, wymaga on najpierw nakładów na niezbędną infrastrukturę techniczną. Dlatego we współpracy z gminami opracowaliśmy formułę patronatu, która jest analizą potencjału danego terenu pod kątem przyszłych inwestycji. Tak przez jakiś czas funkcjonowały nasze najnowsze podstrefy - w Lęborku i Darłowie - obecnie już o statusie specjalnej strefy ekonomicznej. Chodzi o to, aby potencjalny inwestor widział, że tereny są przygotowane pod inwestycje. Wspólnie z gminami je przygotowujemy, a także prowadzimy działania promocyjne.

- Gdzie dziś możemy upatrywać dobrych perspektyw i szans na wzrost atrakcyjności inwestycyjnej regionu słupskiego? Czy północ kraju w porównaniu z południem jest atrakcyjna do realizacji nowych projektów inwestycyjnych?

- W naszym północnym regionie nie brakuje dobrych ofert terenów inwestycyjnych. Atrakcyjność naszej strefy pod względem rozwoju infrastruktury technicznej oraz dostępności komunikacyjnej stale wzrasta. Planowane i prowadzone już inwestycje, związane z budową oraz modernizacją głównych szlaków komunikacyjnych Pomorza, w tym dróg ekspresowych: S3, S10, S6 i S11, to szansa dla rozwoju gospodarczego miast i gmin północnej Polski. To także szansa na nowe inwestycje w Słupskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Determinantą rozwoju danej gminy i jej terenu inwestycyjnego jest, obok infrastruktury technicznej, przede wszystkim, położenie geograficzne względem dostępu do dróg i autostrad. Zdecydowana większość dostaw produktów wytwa-

rzanych w strefie odbywa się transportem drogowym. I choć na południu Polski sieć dróg i połączeń jest bogatsza, to północ ma potężny argument w walce o inwestorów. Są nim porty morskie w Gdańsku, Gdyni oraz w Świnoujściu, plasujące się w bałtyckiej czołówce. W ciągu najbliższych pięciu lat planowane są w nich rekordowe inwestycje, zwłaszcza w Porcie Gdańskim, gdzie do 2020 roku planuje się wydać około 842 milionów złotych! Port ten jest największym polskim portem i największym węzłem logistycznym



Polski. Inwestycje drogowe, rozbudowa portów morskich i lotniczych daje szansę dla rozwoju gmin Pomorza. Położenie geograficzne Pomorza stanowi idealne miejsce dla inwestycji pod kątem dostępności do rynków skandynawskich i nadbałtyckich.

W Słupskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej dysponujemy bogatą ofertą terenów, między innymi pod przemysł, usługi, magazyny, centra logistyczno - dystrybucyjne, stacje paliw. Staramy się na bieżąco poszerzać naszą wiedzę na temat dostępności nowych obszarów inwestycyjnych, hal i magazynów. Dlatego współpracujemy z gminami, a także właścicielami prywatnymi terenów. W naszej ofercie posiadamy zwarte obszary o powierzchni od 50 do 180 hektarów, dostępne zarówno pod większe, strategiczne projekty inwestycyjne, jak również pod mniejsze, zlokalizowane

przy głównych trasach wylotowych z miast i gmin.

- W jakim zakresie Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A. wspiera przedsiębiorców we wdrażaniu innowacji i nowoczesnych technologii? Czy w Słupskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej i Słuskim Inkubatorze Technologicznym lokują przedsiębiorstwa swoje inwestycje o wysokiej specjalizacji, innowacyjności, kooperujące i eksportujące?

- Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A. od trzech lat zarządza Słuskim Inkubatorem Technologicznym. Jest to nowoczesne zaplecze, otwierające możliwości dla regionu, a przede wszystkim dla przedsiębiorców, do wdrażania innowacji, nowoczesnych technologii oraz rozwijania współpracy. Dążymy do utworzenia Centrum Wspierania Nowych Tech-

nologii o zasięgu ponadregionalnym. Utworzyliśmy już dwie specjalistyczne pracownie: Automatyki, Robotyki i Systemów Wizyjnych oraz Odnawialnych Źródeł Energii. Pierwsza zapewnia proinnowacyjne usługi zwiększające wydajność linii produkcyjnych. To unikatowe w skali kraju zaplecze, w którym swoje kwalifikacje z zakresu automatyki, robotyki i systemów wizyjnych podnoszą kadry inżynierskie. W tym roku utworzyliśmy Pracownię OZE. Jesienią na dachu Inkubatora Technologicznego powstała farma fotowoltaiczna, a na działce przy nim - mikroinstalacja i wiatrak o łącznej mocy 200 kW. Instalacja dachowa jest drugą co do wielkości instalacją w Polsce. Pracownia OZE oferuje usługi proinnowacyjne dla firm w dziedzinie energooszczędności w projektowanych, budowanych i użytkowanych budynkach, zakładach



Fot. PARR

pracy oraz halach produkcyjnych, w tym: doradztwo, programy obniżenia kosztów zużycia energii elektrycznej, wykonywanie analizy techniczno-ekonomicznej inwestycji, symulacje uzysków energetycznych i efektywności rozwiązań. Organizujemy konferencje i seminaria na temat poprawy efektywności energetycznej i upowszechniania nowych technologii.

Nasi przedsiębiorcy oferują wysokiej jakości usługi i produkty, które są pożądane nie tylko w kraju, ale i zagranicą. Coraz śmielej firmy korzystają z innowacji i współpracują w ramach działalności badawczo-rozwojowej z uczelniami, przez co stają się częścią nowoczesnej gospodarki. Przedsiębiorstwa działające w Słupskim Inkubatorze Technologicznym dostarczają rozwiązania IT dla biznesu, tworzą systemy, oprogramowanie i aplikacje internetowe oraz multimedialne, przetwarzają i analizują obrazy 2D i 3D, świadczą usługi doradcze z zakresu inżynierii, konstruowania i informatyki, zajmują się tworzeniem innowacyjnych urządzeń, instrumentów i wyrobów medycznych, czy technologii kosmicznych. W SIT działa laboratorium badań środowiskowych oferujące szeroki zakres pomiarów i analiz, a także działają firmy oferujące usługi okołobiznesowe. Uważam, że Słupski Inkubator Technologiczny jest doskonałym miejscem do rozwijania innowacji i nowoczesnych technologii w naszym regionie.

- A jaką ofertę ma Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A. dla mieszkańców regionu?

- Analizując potrzeby regionu staraliśmy się tak prowadzić naszą działalność, aby przynosiła korzyści dla możliwie jak największej grupy odbiorców. By realizować nasze pomysły pozyskujemy fundusze unijne. To głównie dzięki takiemu wsparciu możemy działać lokalnie i regionalnie. Wiele prowadzonych przez nas projektów ma charakter pilotażowy - sprawdzający, a potem wzorcowy. Na przykład w ramach projektu „Kierunek na pracę - wzmocnienie mobilności na pomorskim rynku pracy” zaofiarowaliśmy wsparcie dla tysiąca osób bezrobotnych z województwa pomorskiego. Stanowił on odpowiedź na potrzebę wsparcia mobilności wewnątrzregionalnej w celu lepszego wykorzystania miejsc pracy i wyrównania szans na zatrudnienie mieszkańców w różnych rejonach. Realizacja projektu ma przyczynić się do

lepszego zagospodarowania niewykorzystanych zasobów pracy skoncentrowanych na terenach położonych poza metropolią oraz wiejskich. Obecnie kontynuujemy te działania i staramy się aktywizować osoby trwale bezrobotne, tak aby przywrócić je na rynek pracy. Prowadzimy Ośrodek Wsparcia Ekonomii Społecznej, który zapewnia profesjonalne wsparcie doradcze dla podmiotów ekonomii społecznej. Powstało łącznie jedenaście spółdzielni socjalnych: w Słupsku i powiatach: słupskim, człuchowskim, chojnickim, bytowskim, kościerskim.

Realizujemy także szereg projektów dla osób, które chcą założyć własną działalność gospodarczą. W ten sposób dzięki naszym projektom powstało w regionie w ostatnich latach ponad dwieście pięćdziesiąt nowych mikroprzedsiębiorstw, a ze szkoleń i doradztwa skorzystało ponad trzy tysiące osób. Od roku 2014 w Słupskim Inkubatorze Technologicznym odbyło się ponad sto imprez otwartych o charakterze społecznym, edukacyjnym i artystycznym. Ich organizatorem była nasza agencja, ale także samorządy, szkoły, przedsiębiorcy, instytucje otoczenia biznesu. W imprezach tych wzięło udział około 7,7 tysiąca osób. Warto jeszcze wspomnieć o Lokalnym Punkcie Informacyjnym Funduszy Europejskich, który świadczy nieodpłatne usługi doradcze i informacyjne w zakresie pozyskiwania funduszy europejskich dla podmiotów gospodarczych, samorządów i osób fizycznych.

Jak widać, nasze działania kierujemy także do mieszkańców Słupska i powiatu słupskiego.

- Jakie są najbliższe plany PARR S.A., w tym te związane z nową perspektywą finansową Unii Europejskiej?

Czekamy na pierwsze konkursy, które mamy nadzieję, zostaną ogłoszone w pierwszym kwartale 2016 roku. Mamy już pewne pomysły i idee, ale bez wsparcia nie będziemy w stanie ich zrealizować. Na pewno nadal będziemy kierować się ku innowacjom i wdrożeniom nowych technologii, a także dalszemu wzmocnieniu rynku pracy. Również pod kątem zagospodarowania nieruchomości czekają nas wyzwania. Będziemy się z nimi mierzyć dla dobra miasta i regionu. Jesteśmy otwarci na wszelką kooperację i współpracę.

Siedząc w pociągu, uśmiecham się do siebie, uśmiecham się do wszystkich, jestem szczęśliwa, że po wielu próbach udało mi się wreszcie pozyskać środki na wyjazd z Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności do znacznie oddalonej do Polski - Gruzji. Od wielu lat mailuję z Naną, na moje pytania, jak słupskie Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Rolnictwa może im pomóc, zawsze pada ta sama odpowiedź: „Przyjedź, sama zobaczysz”. Często myślałam: pojadę, odłożę i pojadę, ale zawsze było coś ważniejszego, coś pilniejszego, zawsze brakowało środków, a czasem odwagi.

W końcu stało się, bilety kupione i nie ma odwrotu. Droga do Warszawy ciągnie się w nieskończoność. W Gdańsku dołącza do mnie koleżanka Jola, która poleci razem ze mną. Znowu się cieszę, tym razem z tego, że znalazły się pieniądze na wyjazd dwóch osób z organizacji, co nie jest częstą praktyką. Ale od razu pojawia się wątpliwość: pewnie pomyśleli, to zbyt niebezpieczny kraj, by wysyłać do niego tylko jedną osobę. Wątpliwości to nasza polska przypadłość. Ale myślę, trudno, bilety kupione, nie ma odwrotu. Lot samolotem z przesiadką w Rydze mija szybko i, pomijając obowiązkowe kontrole podyktowane środkami bezpieczeństwa, nawet dość miło. Gdy wychodzimy z lotniska, jest jeszcze ciemno. Cofamy się więc do budynku. Postanawiamy poczekać, aż się rozjaśni, bo nie ma co ryzykować. Pijemy wspaniałą kawę i liczymy, że mija doba, od kiedy rozpoczęliśmy tę podróż.

Wstaje dzień, opada mgła i ukazuje się nam piękny widok gruzińskiej stolicy. Tbilisi leży wśród gór Małego Kaukazu. Z nosem przyklejonym do szyby taksówki podziwiamy piękne widoki. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, że to dopiero początek piękna, jakie przyjdzie nam oglądać. Pierwszy dzień prawie cały mija na śnie. Hotel, który wybraliśmy jeszcze w Polsce, okazał się miejscem nie do zaakceptowania, choć nie mamy wcale wygórowanych oczekiwań. Dobrze, że taksówkarz znalazł lepszy, na dobrym poziomie i taki, na który było nas stać.

Drugiego dnia jesteśmy umówione na spotkanie z przedstawicielami organizacji nas goszczącej.

Początek współpracy

Wyruszam skoro świt, najpierw pociągiem do Gdańska, potem autobusem do Warszawy. W Warszawie muszę dotrzeć na lotnisko, skąd odlatuje samolot do Tbilisi – stolicy Gruzji.



Fot. Archiwum Autora

Rano słyhać dzwonek, to nasi gospodarze. Przyszli punktualnie. To miłe zaskoczenie, bo w samolocie naczytaliśmy się, że Gruzini rzadko są punktualni. Nie dlatego, że nie cenią czasu innych, po prostu tacy są i już. Na czas pobytu w Gruzji naszym opiekunem zostaje Tamaz. Młody człowiek biegle posługuje się językiem rosyjskim i angielskim. Jest miły i życzliwy, chociaż na początku spotkania ma pretensję, że do rozmów wybrałyśmy język rosyjski. On wolałby prowadzić konwersację w języku angielskim. Zdziwiona i zaskoczona zapytałam go, a ile osób z twojego otoczenia zna angielski? Okazało się, że tylko on i znana mi z korespondencji Nana. Pozostaliśmy więc przy rosyjskim. Wybór był dobry bo język rosyjski znają w Gruzji prawie wszyscy. Znają go taksówkarze, sklepikarze, zwykli ludzie na ulicy, słowem wszyscy, których spotkaliśmy podczas naszej podróży.

Z hotelu udajemy się do miasta Achalciche leżącego w regionie Samcche Dżawachetia. Działa w nim Stowarzyszenie SAMKARO, które nas zaprosiło. Achalciche leży na terenie Małego Kaukazu, więc wido-

ki znowu zapierają dech w piersiach. Mam ochotę co chwilę prosić o postój, aby zrobić zdjęcia. Czuję się jak małe dziecko, które stoi przed piękną karuzelą i nie może się nadziwić, że jest coś tak pięknego na świecie. W Achalciche spędzamy trzy dni. Kwartera, którą dla nas wybrano, w niczym nie odbiega od dobrych polskich standardów. Jest wszystko czego potrzebujemy, nawet więcej. Spotkania z członkami stowarzyszenia, rolnikami i szefami centrów informacyjno-konsultacyjnych Gruzjińskiego Ministerstwa Rolnictwa odbywają się w przyjaźnieliwej atmosferze i uświadamiają nam, jak może być wiele obszarów do współpracy. Możemy zobaczyć, jak żyje ludziom się na gruzińskiej wsi, jakie występują na niej problemy, jakie są potrzeby, jaki ma ona potencjał. Potrzeb i problemów jest tak wiele, że przygniatają swym ogromem. Odnoszę wrażenie, że każdy przeciętny Polak załamałby się od razu, będąc w tak trudnej sytuacji. Tymczasem Gruzini pozostają uśmiechnięci, pogodni, życzliwi. Tłumaczą nam, iż najważniejsze, że nie ma u nich wojny. Z czasem poradzą sobie ze wszystkim.

By móc odlecieć do Polski trzeba powrócić do stolicy Gruzji - Tbilisi. Wracamy bussem, których jeździ tu wiele. Piątek to ostatni dzień naszego pobytu. Postanawiamy, że spędzimy go na odwiedzinach Caritasu. Wiemy, że od wielu lat jego dyrektorem jest polski ksiądz Witold Szulczyński. Jesteśmy ciekawe jego doświadczeń z pracy w Gruzji. Po wymianie kilku maili możemy się spotkać. Rozmowa nie ma końca. Wymieniamy się spostrzeżeniami i doświadczeniami. Chętnie słuchamy tego, co ma do powiedzenia tak doświadczona osoba. Otrzymujemy wspaniałą lekcję, jak można skutecznie działać, pomagać, jak jednoczyć ludzi wokół wyznaczonego celu.

W rezultacie pobyt w Gruzji okazał się bardziej bezpieczny niż spacer po słupskim osiedlu późnym wieczorem. Gruzini zaskoczyli nas życzliwością, otwartością na drugiego człowieka, serdecznością. Wiemy, że będą wiarygodnym partnerem i można bez obaw rozpocząć z nimi stałą współpracę.

**Magdalena Borowiec-Wieczorek
Słupsk**



„Promyk” z Potęgowa

Zawsze jest więcej tych, którzy chcą brać, a mniej tych, którzy chcą lub mogą dawać. Dlatego organizacje takie jak Fundacja „Promyk Solidarności” z Potęgowa – są na wagę złota.

Drzewo najlepiej rośnie, gdy spokojnie stoi; człowiek zaś, gdy pracuje.” To powiedzenie J. Eotvosa – węgierskiego pisarza i polityka z XIX wieku dobrze ujmuje sytuację człowieka bez pracy oraz znaczenie pracy dla ludzkiej kondycji. Ukazuje też przestrzeń życia społecznego, w której każdy z nas, członek jakiejś wspólnoty: rodzinnej, zawodowej, samorządowej, politycznej, współuczestniczy w odpowiedzialności za jakość, ład więzi społecznych, za wymiar i godność jej najważniejszego podmiotu – człowieka. Nie zawsze człowiek potrafi i chce o siebie zadbać, wytyczyć perspektywę rozwoju, wzrostu poziomu egzystencji. Szczególnie, gdy zawirowania dziejowe, transformacje ustrojowe, brak lokalnych możliwości, nieumiejętność adaptacji do nowych warunków wytrąciły go z dotychczasowych form bytowania, zepchnęły na margines życia. Tak stało się na przykład z wieloma pracownikami PGR-ów.

Potęgowanie

Tereny wiejskie, które obejmuje gmina Potęgowa, charakteryzują się wysokim poziomem długotrwałego bezrobocia. Dotyczy ono 49,46 proc. ogółu zarejestrowanych bezrobotnych, tj. 321 osób, według danych z grudnia 2013 ro-

ku. To głównie do nich skierowana jest inicjatywa Centrum Integracji Społecznej „Promyk” – jednego z około 120 powstałych w Polsce. To instytucje wyrosłe z troski i aktywności obywatelskiej, mające za zadanie szeroko rozumianą aktywizację i edukację zawodową osób zagrożonych izolacją społeczną. CIS „Promyk” w Potęgowie działa formalnie od 18 kwietnia 2014 roku. Wyłonił się z Fundacji „Promyk Solidarności” ustanowionej w czerwcu 2013 roku przez jej fundatorów: Artura Małką i Rafała Winieckiego. Zapoczątkowała ona w Potęgowie organizowanie sił i środków do pomocy ludziom zagrożonym wykluczeniem społecznym. Stała się fundamentem dla działającej w jej ramach nowej struktury organizacyjnej – Centrum Integracji Społecznej. Jej prezes Artur Małek, z wykształcenia filozof oraz doświadczony biznesmen i menager, umiejętnie połączył wysiłki różnych instytucji i osób działających na rzecz pomocy społecznej, z potrzebami lokalnych przedsiębiorstw i zadaniami gminy w zakresie polityki rozwoju. Lokalna społeczność otrzymała wyraźny sygnał, że może współuczestniczyć w poprawie swojej sytuacji życiowej, że będzie szansa na pracę. Pierwszym dyrektorem CIS „Promyk” został Dawid Litwin, obecny wójt gminy Potęgowa.

Co zrobiono?

Przed wszystkim zorganizowano CIS i powołano osoby odpowiedzialne za jego funkcjonowanie. Dzięki temu mogło ono zaoferować mieszkańcom gminy, kompletny system wsparcia, zapewniający rozwój zawodowy i osobowy. Składają się nań: szkolenia zawodowe o różnym profilu w ramach warsztatów; wsparcie specjalistów: psychologa, radcy prawnego, doradcy zawodowego, pracownika socjalnego; szkolenia grupowe z komunikacji interpersonalnej, asertywności, wzmacniające poczucie własnej wartości i współdziałanie w grupie; zajęcia z informatyki, pisanie pism urzędowych, listów motywacyjnych, CV, sporządzanie dokumentów aplikacyjnych.

W porozumieniu z lokalnymi zakładami pracy zorganizowano warsztaty: piekarniczy, porządkowo-ogrodniczy, budowlany, krawiecki i stolarski. Ich uczestnikom zapewniono świadczenie integracyjne w wysokości 50 proc. zasiłku dla bezrobotnych w pierwszym miesiącu oraz w pełnej wysokości od drugiego miesiąca. Zaoferowano także jeden posiłek dziennie, ubranie robocze, transport w razie potrzeby.

„Promyk” skierował swoją ofertą do osób długotrwale bezrobotnych. Warto przypomnieć, że za taką osobę

uważa się - w myśl przepisów ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy - bezrobotnego pozostającego w rejestrze PUP łącznie przez okres dwunastu miesięcy w okresie ostatnich dwóch lat, z wyłączeniem okresów odbywania stażu i przygotowania zawodowego dorosłych. Osoby chcące brać udział w projekcie CIS musiały uzyskać opinię Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej lub Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku. One też przyjmowały wnioski zainteresowanych.

Nowa siedziba

W październiku br. CIS „Promyk” przeniosło się z siedziby przy ulicy Witosa w Potęgowie do nowej siedziby w Chlewnicy. Dzięki sponsorom i środkom własnym fundacji, wyremontowano budynek przystosowując go do zadań statutowych. Kamil Patynowski - dyrektor „Promyka” i jego asystentka Katarzyna Duda, mogą spokojnie myśleć o dalszych planach. Mając wsparcie w Fundacji, na czele której stoją prezes Artur Małek i przewodniczący Rady Fundacji - Czesław Juszczyk wierzą, że warto i trzeba kon-

przyglądać godzinami”. Pod tym powiedzeniem J. K. Jeroma - angielskiego powieściopisarza i humorysty, mogłoby podpisać się wielu. Tym bardziej z satysfakcją należy odnotować, że projekt, realizowany w ciągu niecałego roku, zgromadził w sumie już 84 uczestników. Oprócz bezrobotnych, z których dziewięciu znalazło zatrudnienie z perspektywą dalszego przedłużenia umowy i grupy z warsztatu porządkowo-ogrodniczego, która dalej świadczy usługi, uczestniczy w nim grono specjalistów. W skład kadry, oprócz dyrektora i asystentki wchodzi ponadto: pracownik socjalny, specjalista ds. uczestników, psycholog, doradca zawodowy, radca prawny. Z dwunastoosobowej grupy instruktorów, jeden zatrudniony jest na umowie o pracę, czterech na umowie zleceniu, a siedmiu pracuje w formie wolontariatu.

Uczestnicy

W siedzibie fundacji spotykam się z grupą osób pracujących w ramach warsztatu porządkowo-ogrodniczego. Przyszli ze swoim instruktorem - Elż-

- Ale niech pan też napisze, że te siedemset złotych które otrzymujemy, to trochę za mało...

Myliłby się jednak ten kto sądziłby, że siedziba fundacji czy CIS-u, to okazja do spotkań towarzyskich i spędzania wolnego czasu. Załącznik nr 1 i 2 do regulaminu uczestnika CIS „Promyk” w Potęgowie rozwiewa wszelkie wątpliwości. Czytam w nim: „Jestem w Centrum Integracji Społecznej „Promyk” żeby: zdobyć stałą pracę, nabyć umiejętności zawodowe (...), nauczyć się planować życie (...), pokazać społeczności, że jestem potrzebny i potrafię pracować. A także: słuchać aktywnie i szanuj innych ludzi (...), nie stosujemy agresji słownej i fizycznej, mów szczerze, rozmawiaj na temat, jesteśmy trzeźwi na zajęciach (...), wszystkie punkty widzenia są mile widziane”. To tylko fragmenty. Ale ukazują one, gdzie leży istota problemu, jaki jest wspólny cel i jakie reguły gry obowiązują.

Plany

Są ambitne, bliskie i dalekie, nie pozbawione realności. Jednak Artur Małek - prezes fundacji, jak i Kamil Patynowski - dyrektor „Promyka” nie lubią za wiele obiecywać, wolą konkrety. Dlatego oszczędnie mówią o pomysłach podkreślając główne kierunki aktywności: dalsza integracja lokalnej społeczności, pozyskiwanie zaufania instytucji i podmiotów gospodarczych w dziele pomocy, inwestycje w obiekty produkcyjne, handlowe i turystyczne dające szansę na ożywienia rynku pracy. Te, które się rysują w najbliższej przyszłości to: powstanie ekogospodarstwa na gruntach udostępnionych przez sponsorów oraz zamiana ruin po zabytkowej stajni w Chlewnicy w nowoczesny obiekt handlowo-produkcyjny z restauracją, biurami, pomieszczeniami produkcyjnymi, oferujący usługi turystyczne i lokalne wyroby. Wizualizację tego obiektu można zobaczyć w siedzibie CIS.

Zawsze jest więcej tych, którzy chcą brać, a mniej tych, którzy chcą lub mogą dawać. Dlatego organizacje takie jak Fundacja „Promyk Solidarności”, CIS „Promyk”, Fundacja Pomocy Wzajemnej „Barka” - są na wagę złota. Zaangażowani w ich działalność ludzie są przykładem, że wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka, troska o solidarność społeczną, nie są pustymi hasłami, odruchami wyrażanymi od święta, lecz stylem życia potwierdzonym faktami.

Zdzisław Opalko, Słupsk



tynuować działalność. Nie po to, by rozdawać potrzebującym środki uzyskane od innych, lecz uczynić z nich impuls i narzędzie do reorganizacji dotychczasowego stylu życia, przewartościowania potrzeb, stworzenia nowych podmiotów oferujących pracę.

- Chcemy dawać wędkę, nie rybę - mówi Artur Małek - sprzyjać wzrostowi predyspozycji, okazji, by ludzie mogli posługiwać się nią jak najsprawniej. Nie jest to zadanie łatwe. Długotrwale bezrobocie odbija się negatywnie na psychice osób nim dotkniętych.

„Nic nie wzbudza we mnie po-
dziwu, jak praca ludzka. Mogę się jej

bietą Kędzą. Ludzie w różnym wieku, na twarzach których czas i troski utrwaliły już swoje ślady: Andrzej, Dorota, Renata, Barbara, bracia Roman i Tadeusz. Potwierdzają, że „Promyk” dał im zatrudnienie, zorganizował miejsce i narzędzia pracy, i że łączy ich nadzieja na lepsze jutro. Pani Dorota, najaktywniejsza uczestniczka spotkania podkreśla, że nie wyobraża sobie dnia, w którym nie przyszedłaby do siedziby fundacji. Porozmawiać, spotkać się z pracownikami, pobycć choć na chwilę. Spotyka się tu z życzliwością i wsparciem.

- Dobrze, że jest takie miejsce, to mój drugi dom - mówi pani Dorota.

Pochodzę ze wsi i tego się nie wstydzę

Matka miała przed wojną ukończoną małą maturę, ojciec niestety, był niepiśmienny. Ich związek był swoistym mezaliansem, ponieważ matka wywodziła się ze starego szlacheckiego rodu Wasilewskich.

W naszym społeczeństwie pokutują często przekonania, iż ludzie pochodzący ze wsi są jakby obywatelami gorszej kategorii. Pochodzenie wiejskie w przeszłości było symbolem zacofania, biedy i niskiej kultury. Chłop jednoznacznie kojarzony był z ziemią, koniem, krową i pługiem, a wiejska kobieta z gromadką trzody, ptactwa i umorusanych dzieci. Wszystko to spajała w ludzkiej wyobraźni ciężka praca, wręcz harówka od świtu do nocy.

Takiej to wsi jednak Polska zawdzięcza lata powojennego rozwoju, względny dostatek ludzi miastowych: inteligencji i robotników. Starsze pokolenie pamięta jeszcze sławetny sojusz robotniczo-chłopski polegający na tym, że chłop oddawał robotnikom swoje plody rolne, a w zamian otrzymywał kosy, pługi i lemiesz.

Na takiej to wsi, w rodzinie osadników Ziemi Zachodnich, lub Ziemi Odzyskanych - jak wtedy nazywano ziemie przyznane nam przez Stalina w miejsce odebranych Kresów Wschodnich - ja się urodziłem, wychowałem i do czasu pełnoletności żyłem.

Jak wyglądała ta wieś, o nazwie Ślizów, którą wcześniej zajmowali, którą przed wojną zbudowali Niemcy? Wszystkie zagrody na wsi miały pełny komplet zabudowań gospodarskich. To znaczy, że oprócz domu mieszkalnego, niemal zawsze w połowie złożonego z obory połączonej ze stajnią, w ich skład wchodziły jeszcze stodoły i chlewnie. Przy chlewniach znajdowały się przybudówki w postaci szop na podręczny sprzęt gospodarski i drewno, a w ich bezpośrednim sąsiedztwie posadowione były głębokie podziemne silosy na gnojowicę, obudowane betonowo - ceglany murem, za którym składowano obornik.

Przy budynkach mieszkalnych, od strony obory ze stajnią, stały spichrze na zboże, pod którymi w części podziemnej znajdowały się głębokie



Fot. J. Maziejuk

piwnice na okopowe. Wszystkie budynki przykryte były dachami z równie pięknie jak cegła wypalanej, czerwonej dachówki.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w pobliżu miasteczka Syców znajdowała się cegielnia, w której na potrzeby rozwoju miasta i całego wiejskiego regionu wypalano cegłę. W okolicy było pełno glinianek - oczek wodnych po wydobywaniu gliny, której niemal w pobliżu każdej sąsiedniej wsi było na podmokłych łąkach pod dostatkiem. Studnie, i to z ręczną pompą, nie jakieś tam drewniane żurawie, wydrążone zostały w rogu całego prostokąta tworzącego kompleks zabudowań, powyżej spływu wód gruntowych i co bardzo ważne powyżej chlewni, silosu i obory ze stajnią. Prozaiczny zaś przybytek, ja-

kim był zwyczajny wychodek, mieścił się w przeciwnym rogu podwórka, za stodołą. W części podziemnej składał się on z solidnego (też z cegły i cementu) szamba opróżnianego mechanicznie, bądź ręcznie, przez specjalną kloakę boczną, przykrytą płytą z grubych desek.

Wszystko musiało mieć swoją logikę, a tam w Ślizowie logikę tę miało. Weźmy przykładowo budynek mieszkalny. Połączenie go - poprzez normalnej wielkości otwór drzwiowy - wewnątrz z oborą i stajnią, dawało określone korzyści, zwłaszcza porą zimową. Dostarczało bowiem ludziom dodatkowego ciepła, ułatwiało obsługę inwentarza i jego pielęgnację; gdy trzeba było dopilnować wycieleń i wykotów, doglądać młodego przychowku, nie zapominając przy

tym o tak prozaicznych ludzkich sprawach, jak załatwianie potrzeb fizjologicznych nocą.

Szczególnie dokładnie wydawała się być przemyślaną część mieszkalna. Do wnętrza domu prowadził oszklony ganek. Wchodziło się z niego do dużej sieni z niemal lustrzaną posadzką, wylaną na gładko z cementu. Sień była jakby punktem centralnym domu. Z sieni można było dostać się wszędzie: schodami na strych, bocz-

ły dzień. Centralne palenisko, o powierzchni przeciętnego blatu stołu, przykrywały żeliwne płyty z czterema gniazdami fajerek, na których ustawiano różnej wielkości naczynia, w zależności od potrzeby; oprócz kociołków z ziemniakami i kaszą dla trzody i drobiu, garnki z potrawami dla domowników.

Wysoki, kaflowy przypiecek zabezpieczał potrzeby w zakresie ciepłej wody. Tu, podobnie jak w przy-

stety, był niepiśmienny. Ich związek był swoistym mezaliansem, ponieważ matka wywodziła się ze starego szlacheckiego rodu Wasilewskich. Ojciec trudno powiedzieć? We dworze hrabiego Karczewskiego był chłopakiem od koni, nazywano to także mianem parobka. Kim innym jednak mógł być chłopak, który wychował się wśród dworskich opuszczonych sierot w dworskich czworakach? Którego matka zmarła, gdy miał zaledwie sześć lat, a ojciec został zamordowany tuż przed jego narodzeniem, podczas powrotu z Francji, gdzie wcześniej bezpośrednio po I wojnie światowej wyemigrował za chlebem.

Prababka Karczewska w m. Wielgie pod Radomiem, hrabina zresztą, też wcześniej dopuściła się podobnego mezaliansu. Wyszła za zubożałego szlachcica, który u jej ojca „był tylko” rządcą na stawach rybnych.

No cóż, jakby nie patrzeć na to, moje korzenie są najzwyczajniej wiejskie. Wojny, najpierw pierwsza, potem druga, światowe, poplątały losy ludzkie. Klasowość społeczeństwa przestała dzisiaj funkcjonować, przestała mieć rację bytu, gdyż wszyscy na swój sposób jesteśmy związani z ziemią, czy chcemy tego czy nie.

Jestem jednym z nielicznych dzieci wiejskich, którym udało się w tamtych trudnych czasach zdobyć wykształcenie i oderwać od korzeni wiejskich. Wieś zawsze wspominam jednak z sympatią i mam do niej szczególnie serdeczny osobisty stosunek. Kocham wieś. Mimo udręki rodziców, że swą młodość musieli poświęcić ziemi, że ciężko, bardzo ciężko musieli pracować, by utrzymać czwórkę dzieci i zabezpieczyć byt całej rodzinie. By wywiązać się z jakże trudnych w owym czasie obowiązków, jakie socjalistyczne państwo zniszczone wojną nakładało na rolników.

Obowiązkowe dostawy naliczanych od każdego hektara ilości metrów zboża, ziemniaków oraz kilogramów mięsa w postaci wyhodowanych tuczników i młodych cielaków były tak wyśrubowane, że dla domu zostawało niewiele. Zostawało tyle, by przetrwać, nie umrzeć z przysłowiowego głodu.

Jeśli rolnik był obrotny, a do tego trafił na dobrą ziemię, to i nieco łatwiej było żyć jego rodzinie. Możliwości zresztą były niewielkie, gdyż rozczłonkowanie gruntów rolnych



nym wejściem do obory, wejściem na wprost do kuchni, a dalej do spiżarni, i osobnym wejściem do pokoju.

W sieni znajdował się piec chlebowy i wędzarnia. Piec chlebowy miał bezpośrednie połączenie z kominem. Wędzarnię wybudowano obok pieca i połączono z kominem kanałem nadpiecowym. Pozwalało to utrzymać dłużej gorący dym wewnątrz wędzarni. Głębokość wędzarni dyktowała szerokość przypiecka pieca chlebowego w pokoju sąsiadującym z sienią. Przypiecek przez długie godziny utrzymywał ciepło i ogrzewał wnętrze ludzkiej sypialni.

Przez drzwi na wprost z sieni wchodziło się do kuchni. Za Niemców znaczną część tej izby zajmowała kaflowa kuchnia opalana drewnem. Ogień palił się w niej niemal przez ca-

padku wędzarni, żar z paleniska nie uciekał bezpośrednio do komina, ale przechodził najpierw pod żeliwnym zbiornikiem z wodą. Omiatał także dwie różnej wielkości duchówki. W jednej utrzymywano ciepło potraw mięsnych i suszono owoce oraz grzyby, a w drugiej dosuszano wilgotne drewno.

W muzeum regionalnym w Sykowie pokazano mi niedawno Księgę Osiedleńców powiatu, w której na jednej ze stron pięknym kaligraficznym pismem odnotowane zostały również nazwiska moich rodziców. Jak wynikało z tej adnotacji przybyli oni do Ślizowa 20 sierpnia 1945 roku. Rok później w maju ja się tam urodziłem.

Moja matka miała przed wojną ukończoną małą maturę, ojciec nie-

było na tyle duże, że większość gospodarstw nie przekraczała 10 hektarów, co zresztą w warunkach braku sprzętu rolniczego i tak było wystarczające, by sprostać ich zagospodarowaniu.

Wieś, w której się wychowywałem, należała do niezamożnych, grunty były słabe, IV i V klasy, rzadko trafiały się polacie ziemi z klasą III, gdzie udawały się pszenice i cukrowe buraki. Produkcja rolna nastawiona była przede wszystkim na żyto, ziemniaki, owies, a hodowla na narzuconą liczbę kilku tuczników, plus jednego (maksymalnie przy sprzyjających okolicz-

W naszym gospodarstwie mieliśmy jednego konia (dobry koń był przysłowiowym majątkiem, pierwsze traktory weszły na chłopskie prywatne pola dopiero w latach osiemnastych), dwie krowy, cztery owce, około 6-10 świń (w tym kilka warchlaków) i stadko drobiu.

Na mojej wsi pierwsze lata powojenne były szczególnie trudne. Rosjanie, którzy jako zwycięzcy weszli na te tereny, zniszczyli bezmyślnie wszystko, co polniemieckie. Zburzyli budynki młyna, cegielni, a z zakładów produkcji rolnej: tartaku, browaru, cegielni i

powali się po kilka rodzin i wzajemnie sobie pomagali. Sam często, gdy już na tyle podrosłem, by pracować na roli, chodziłem do sąsiadów na tak zwany odrobek. Oni nam pomagali zbierać zboże i ziemniaki, potem przy młocce, my im.

Od dzieciństwa pomagałem w polu, a gdy na tyle podrosłem, by samodzielnie wykonywać niektóre prace, kosilem zboża i trawy, sadziłem warzywa, handlowałem na miejskim targowisku owocami i warzywami, pracowałem w Kółku Rolniczym, które powstało w latach sześćdziesiątych, by zarobić na książki, pomoce szkolne, kupić sobie pierwszy w życiu zegarek.

Moja matka należała do tych pojętniejszych kobiet wiejskich, które nie tylko szybko obeznęły się w pracy na polu, ale potrafiły dodatkowo wiele zrobić. Robiła swetry na drutach, przędła wełnę, szyła i haftowała, znała się na przetwórstwie warzyw i owoców. Ojciec uchodził za tak zwaną złotą rączkę. Potrafił naprawić kołchoźnika (radio), zalutować dziurawy garnek, oszkuścić okna, zrobić stół, ławę, krzesło. Bił innym sąsiadom świnie, co czasem dawało dodatkowy kęs strawy w postaci kawałka słoniny, czy przyniesionego łba świńskiego; lubiłem smażony mózg, lub dobrze zrobioną galaretkę.

Kultura? Była i kultura na wsi. W latach mojego dzieciństwa więcej jej było, niż w późnym okresie Gomułki (gdy zaczęło szerzyć się pijaństwo), czy za czasów Gierka. We wsi była duża remiza strażacka, gdzie zawsze w soboty odbywały się zabawy ludowe. Był zespół ludowy i kilkoosobowa orkiestra. W latach 60. powstała klubokawiarnia z myślą o młodzieży, w której spotykano się przy kawie i już nie przy „czystej zwykłej”, ale przy lampce wina, dobrym cięście. Tak nawiasem, w lokalu tym obchodziłem swoją osiemnastkę. Przyjechały koleżanki z liceum, koledzy z Sycowa, nie wstydziliśmy się swojej wsi, można było potać przy magnetofonie, porozmawiać.

No cóż, dużo by można jeszcze było napisać o mojej rodzinnej wsi, gdzie się urodziłem. Wspomnienia giną, odchodzą ludzie, nie mówiąc o czasach, których dzisiejsza młodzież nie tylko nie zna, ale często także nie rozumie.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz

nościach dwie sztuki) na potrzeby rodziny, związane przede wszystkim ze świętami Wielkanocy i Bożego Narodzenia.

Państwu oddawało się także mleko, ale to wiązane było oddzielnymi umowami kontraktacji, które z jednej strony pozwalały na planowy rozwój kraju (polityka opierała się na planach, najczęściej pięcioletniego rozwoju), z drugiej dawały chłopu dodatkowy skromny dochód, który można było przeznaczyć na cele utrzymania gospodarstwa.

Kontraktacją obejmowano wszystkie plody rolne, które wieś produkowała poza planowymi dostawami podstawowych produktów: ziemniaków, żyta i mięsa.

młyna powyrywali „z korzeniami” cały park maszynowy i załadowali go na transporty kolejowe, by wywieźć do ZSRR. Z późniejszych podróży i doświadczeń wiem, że często pozostał on porozrzucany wzdłuż tras przejazdu transportów, bo trzeba było wagi przeznaczyć na przykład na potrzeby wojska, lub też dlatego, że nie było specjalistów od jego uruchomienia.

Pozostało jednak na wsi kilka maszyn. Jedna młocarnia, która potem przez lata obsługiwała kolejno całą wieś. Kilka ręcznych sieczkarni, wialni i innych drobnych urządzeń rolniczych, które w warunkach powojennych i tak w kraju uchodziły za przysłowiowy cud techniki. Podczas zbioru plodów rolnych rolnicy gru-



Fot. J. Maziejuka

Podróże kształcą, rozwijają i poszerzają horyzonty ludzkiego poznania. Otwierają oczy na to, co obce i nieznane, czasem tajemnicze, ale przede wszystkim ciekawe i wartę odkrycia. Są najcenniejszą z lekcji, w jakich może uczestniczyć młody człowiek. Współcześnie świat jest właściwie na wyciągnięcie ręki... Dlaczego zatem nie sięgać po nowe możliwości, nie wykorzystywać szansy, jaką daje obecność Polski w Unii Europejskiej i dają coraz liczniejsze programy międzynarodowej wymiany doświadczeń?

Zespół Szkół Agrotechnicznych im Władysława Reymonta w Słupsku skorzystał z tej szansy i zrealizował w roku szkolnym 2014/2015 projekt „Nowoczesne technologie szansą na rozwój kreatywności i innowacyjności absolwentów szkół zawodowych” - w ramach skierowanego do szkół programu Erasmus+, finansowanego przez Fundację Rozwoju Systemu Edukacji ze środków Unii Europejskiej. Program ten pozwala na organizowanie zagranicznych zawodowych staży, podczas których uczniowie mają nie tylko możliwość zdobywania nowej wiedzy i umiejętności praktycznych, ale także poznawania kultury, obyczajów oraz tradycji innych państw europejskich.

Wybór padł na słoneczną, ciepłą i niezwykle urokliwą Hiszpanię, która zachwyca swym pięknem o każdej porze roku. Przywitała słupskich uczniów bezchmurnym niebem i upa-

Na wyciągnięcie ręki

Urokliwa Hiszpania przywitała słupskich uczniów bezchmurnym niebem i upałami.



łami, których pewnie pozazdrościłby niejeden nadbałtycki kurort. Również miejsce odbywania praktyk było niezwykle. Sewilla bowiem jest nie tylko stolicą Andaluzji, ale również niekwe-

stionowanym centrum kultury flamenco. To miasto pełne kontrastów, parków, w którym na każdym kroku odnaleźć można ślady historii Półwyspu Iberyjskiego.

W tak niecodziennej scenerii grupa uczniów drugiej i trzeciej klasy technikum (zawodów technik analityk i technik ochrony środowiska) miała okazję poszerzać swoją wiedzę i rozwijać umiejętności pod okiem pracowników jednego z najbardziej nowoczesnych hiszpańskich laboratoriów, należącego do firmy Inno-agral Soluciones Agroalimentarias. Młodzież zapoznała się z europejskimi standardami przeprowadzania analiz laboratoryjnych i monitorowania stanu środowiska. Dodatkowo musiała poradzić sobie z problemami językowymi oraz przełamać lęk przed porozumiewaniem się w języku angielskim. Nagrodą za godziny spędzone przy próbkach i odczynnikach były liczne wycieczki do innych interesujących miast regionu - Malagi, Cordoby czy Granady.

**Iwona Wojtkiewicz
Słupsk**



Zakochany w... rowerach

O wielkiej pasji Euzebiusza Marciniaka niechaj świadczą wielokrotne pokonywanie rowerem odległości Bytów – Koszalin, liczącej ponad sto kilometrów (przez Suchorze, Korzybie) i drugie tyle z powrotem.



Fot. U.M. w Bytowie

Ludzi o szczególnych zasługach dla środowiska, o pięknym życiu, osobowości i charakterze, wyróżnia się tytułem „Honorowy Obywatel...”. Są to nieliczne zaszczyty, dlatego tak cenne i wyjątkowe. Bytów również posiada swoje znamienitości noszące taki honorowy tytuł. Jednym z nielicznych jest Honorowy Obywatel Miasta - Euzebiusz Marciniak, który jako młody chłopiec, na ziemi bytowskiej, pojawił się wraz ze swymi rodzicami tuż po wojnie, w 1946 roku. A był to okres tzw. wędrówki ludów, kiedy spustoszona i wyczerpana wojną Europa, a szczególnie Polska, jeszcze nie otrząsnęła się z szoku tragedii ludzkich, ruin i totalnego zniszczenia. Nowy, pokojowy rozdział dla tych, którzy przeżyli koszmar kataklizmu wojennego, to gorączkowe poszukiwanie miejsca egzystencji dla siebie i ocalałych członków rodziny. Dosłownie, wszystko trzeba było zacząć od nowa. Dla wyczerpanych fizycznie i psychicznie, w beznadziejnych warunkach wszystko-braku, życie nie szczędziło znoju, upokorzenia i dalszych niespodzianek. Jedno wówczas przeważało - entuzjazm i nadzieja, wola przezwyciężania trudności oraz chęć poprawy swego losu.

Jedni byli relokowani z tzw. nakazów, inni przemieszczali się dobrowolnie. W 1946 roku państwo Marciniakowie postanowili przenieść się z Pińska (Kresy Wschodnie) do Bytowa na Pomorzu (wcześniej, ojciec Euzebiusza, z Poznania trafił do Pińska na skutek tzw. zaciągu wojskowego). Jedenastoletni wówczas, Euzebiusz Marciniak, z racji bycia przy rodzicach, ich decyzją lub inaczej - wyborem, trafił do Bytowa. W ten sposób zadomowił się tu i znalazł swoją przyszłość. Jak wiemy, skrzydła rodzicielskiej opieki nad latoroślami nie trwają wiecznie. Szczególnie w tamtym okresie, aby wesprzeć i ulżyć w trudach rodzicom młodzi ludzie wcześniej usamodzielniali się. Po ukończeniu szkoły podstawowej i I Liceum Ogólnokształcącego w Bytowie podjął pracę w ówczesnym, bytowskim - Powiatowym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Będąc od 1951 roku członkiem klubu LZS (uprawiał piłkarstwo) przy PPB, później już jako sekretarz Rady Powiatowej, postanawia zorganizować sekcję kolarską. W 1953 roku otrzymuje niekompletny urzędowy rower „Eska” - produkcji czeskiej. Do współpracy włącza się ówczesny księgowy PGR w Dąbiu k. Bytowa - Józef Frankiewicz. Oczywiście, bez rowerów nie ma sekcji rowerowej. Kwestia ta w tamtym okresie wcale nie była taka prosta. Po wyczerpującej wszelkie zasoby wojnie, nawet rower był swoistym rarytasem ułatwiającym poruszanie się. Wobec tego, wspólnie z p. Józefem, pozyskawszy środki finansowe z pegierowskiej kasy E. Marciniak udał się do Bydgoszczy po odbiór pięciu rowerów. W ten sposób w 1956 roku nowo powołana sekcja kolarska stała się rzeczywistością i od 1957 roku została zarejestrowana pod szyldem - LZS „Bytovia”.

Warto tu dodać, iż młodzieńkiemu wówczas - Euzebiuszowi, miłośnikowi rowerów, już od początku, kiedy tylko został członkiem zarządu



Fot. J. Maziejuk

bytowskiego klubu sportowego „Bytovia”, myśl o wydzielonej, specjalistycznej grupie kolarzy nie dawała spokoju. Były to początki lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. „Bytovia” wówczas posiadała trzy sekcje: siat-



kówki, lekkoatletyki i piłki nożnej. Natomiast chcących ścigać się na rowerach traktowano w sposób dowolny, nie zorganizowany. Ówczesnym decydom taka forma kolarska wystarczała i nie widzieli potrzeby po-

woływania nowej organizacji. Rowery „różnej maści” na „balonowych” oponach „brylowały na mieście”.

Do „pocztowych” zawodów, zasiadając obok siebie na takich właśnie rowerach, w skąpych, dowolnych kre-

acjach, przystępowali przedstawiciele wszelakich zawodów (niektórzy się nawet nie przyznawali, jakich!): milicjant, ksiądz, urzędnik, piekarz, kowal, młynarz, itd. oraz w wieku bez ograniczeń. Już na starcie wygrywał entuzjazm, emocje oraz... powaga chwili. Podobno tempo tych wyścigów (do kilkudziesięciu kilometrów) było oszałamiające, a wielu pechowców z ramą niesioną „na barana” musiało dokuśtykać z tak cennym przedmiotem, nieraz i po parę kilometrów, na miejsce startu. Wygrywający zdobywał wszystko, np. bezcenną wówczas teczkę z prawdziwej świńskiej skóry. Szkoda, że z tej rywalizacji nie ma dokumentacji filmowej, dzisiaj byłoby się z czego pośmiać. W tzw. międzyczasie młody Euzebiusz na swojej urzędowej „Esce” z zamiłowaniem pokazywał kilkunastokilometrowy odcinek trasy: Bytów - Sierżno i Bytów - Niezabyszewo. Brał także udział w wyścigach kolarskich organizowanych dla... listonoszy, aż do momentu, kiedy zorganizowano zawody powiatowe. Było to w latach 1958 - 1965. W pierwszym wyścigu zwyciężył Zygmunt Cząstka, drugie miejsce zdobył Euzebiusz Marciniak, a trzecie jego brat, Ludwik.

Do kierowania i funkcji trenerskiej w nowej, obiecującej szybki rozwój sekcji, brakowało młodemu organizatorowi niezbędnych kwalifikacji. Postanowił więc, wypełnić tę lukę. Ukończył z oceną pozytywną, jeszcze w latach sześćdziesiątych, kurs instruktorski aż w... Przemysłu.

Klub sportowy „Bytovia” ewoluował; przybywało ludności, zainteresowań, sponsorujących firm. W 1957 roku zakładowe kluby i sekcje o różnej nazwie, połączyły się w jeden duży sportowy organizm - LZS „Bytovia”. Klub poszerzył się o sekcje podnoszenia ciężarów, strzelectwa i tenisa stołowego (tu duże sukcesy). W 1964 roku nastąpiła secesja grupy kolarskiej i piłkarskiej: sekcje odłączają się od klubu „Bytovia” dołączając do nowo zarejestrowanego klubu sportowego pod nazwą - MLKS „Baszta”.

Pierwszym prezesem klubu zostaje Józef Frankiewicz. Po dwóch latach klub z 55 członków rozrasta się do 133 i posiada 7 sekcji: piłki siatkowej, kolarską, tenisa stołowego, piłki nożnej, motorową, strzelecką, lekkoatletyczną, a wkrótce - kajakową. W tym okresie sekcja kolarska, mająca ponad 30 zawodników zanotowała swoje pierwsze sukcesy.

- Chętnych do kolarstwa, jak mówi p. Euzebiusz - nie brakowało, raczej rowerów i części do nich. Wkrótce nastąpiła selekcja chcących uprawiać kolarstwo, a w latach 1963 - 1967 dodatkowo powstała podsekcja kobieca (czołowe zawodniczki to Maria Sobisz i Helena Peplińska). Talenty ujawniały się w zorganizowanym przez trenera Marciniaka tzw. Małym Wyścigu Pokoju, wzorowanym na popularnym w kraju Wyścigu Pokoju. Od 1971 zawody te odbywały się co roku przez kolejne lata. Pomysł ten, oraz skuteczny, osobisty marketing imprez, czyniony przez pana Marciniaka, m.in. komunikaty podczas kinowej projekcji filmów, ogłoszenia „własnej roboty” zawieszane na płotach i murach, także skuteczne pozyskiwanie sponsorów, powodowały coraz bardziej masowe uczestnictwo w imprezie. Już na pierwszym starcie pojawiło się blisko stu uczestników, m.in. późniejszy nasz olimpijczyk i srebrny medalista z Moskwy w 1980 roku, młodzieńki Czesław Lang, który tu „na dzień dobry” na starej damce mamy zajął drugie miejsce! Pierwsze wywalczył Stanisław Myszk. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewne „ale”. Otóż zgłaszająca młodzieńkiego Czesia do zawodów, osoba z jego rodziny, w związku z limitem lat (grupa wiekowa), odjęła mu lata, aby mógł w nich wystartować. Kiedy o tym dowiedział się p. Euzebiusz, a Czesiu miał już numer, przytknął oko, zarządzając planowy start. Po wyścigu młody Czesław już długo pozostał „na trenerskim oku” swego łaskawcy.

Kolejno „pod ręką” trenera i opiekuna Marciniaka ujawniały się też i inne liczne kolarskie talenty: Zygmunt Cząstka, Gerard Szyc, Stanisław Drozd, Eugeniusz Kozłowski, Jerzy Woźniak, Krzysztof Helmin, Adam Dargas, Radosław Czapla, Dariusz Szyc, Andrzej Kaiser, Marek Cichosz, Wojciech Ciera i wielu innych, o których później było głośno w kolarskim świecie. Dodam, iż pan Euzebiusz także „szlifował” formę mego najstarszego syna Michała, wówczas juniora, który stopniowo zaczął wspinać się po drabinie do kolarskich sukcesów, aż do momentu, kiedy rodzicielską, niełatwą decyzją został skierowany na inną drogę życia. Były to początki lat dwięćdziesiątych ub. wieku. I w tej, bądź co bądź, indywidualnej, zawodniczej kwestii osobiście u rodziców interweniował p. Marciniak. Talentom nie od-

puszczał i ich nie opuszczał. O „dobrej trenerskiej ręce” niech świadczą, wybrane spośród wielu osiągnięć wychowanków, chociażby takie przykłady: Cz. Lang już w 1973 roku w mistrzostwach Polski w wyścigu przełajowym w Koszalinie zdobywa I miejsce, by wkrótce z G. Szycą uzyskać pierwszą klasę sportową! Zaraz potem Lang zostaje powołany do reprezentacji Polski w kolarstwie torowym. Z kolei Drozd i Szyc zostają członkami kadry Polski, pierwszy z nich - w kolarstwie szosowym juniorów, drugi - w kolarstwie przełajowym. Natomiast „Baszta” w

z nim na wspomniany kurs uczęszczali znani i znakomici przedstawiciele świata amatorskiego kolarstwa: Marian Więckowski, Andrzej Trochanowski, Edward Olejniczak czy Bogusław Fornalczyk, a w komisji egzaminacyjnej zasiadał jeden z „guru” polskiego piłkarstwa - Andrzej Strelau! Bytowska „Baszta”, skupiająca w swych szeregach kilkudziesięciu kolarzy, w ten sposób stała się czołowym, krajowym klubem, znanym już poza granicami Polski. Przez klub i trenerską opiekę pana Marciniaka, na przestrzeni kilkudziesięciu lat, przewinęła się ogromna licz-



tymże 1973 roku na III Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży Szosowej w Krakowie zwyciężyła w punktacji klubowej, a Lang i Szyc zdobyli złoty medal w wyścigu parami. Pierwsze miejsce, złote medale, klasy mistrzowskie sypały się jak z przysłowiowego rękawa, mówi o tym historia powojennego kolarstwa w Polsce. Sekcja prowadzona przez p. Euzebiusza zyskiwała rozgłos i rangę, dlatego powziął decyzję, by podnieść swoje kwalifikacje na jeszcze wyższy poziom. W rezultacie, w latach siedemdziesiątych, pomyślnie ukończył na AWF w Warszawie i Gdańsku kurs trenerski I kl. Ciekawostką jest to, iż ra-

ba zawodników. Wielu później zmieniło barwy klubowe, wzmacniając nowe placówki kadrowo. Wyselekcjonowani i wytrenowani w bytowskiej „Baszcie” kontynuowali zawodnicze kariery, jednocześnie rozsławiając przysze kluby, przywdziewając często koszulkę reprezentanta Polski. Wracając później z trofeami z zawodów krajowych i międzynarodowych, kibice i fani nie zawsze zdawali sobie sprawę z tego, iż dany zawodnik wcześniej był trenowany przez Euzebiusza Marciniaka w Bytowie.

Najwierniejszy swym korzeniom zdaje się być najślawniejszy z nich - Czesław Lang. Jeszcze niedawno, kiedy

rozmawiałem z p. Euzebiuszem w jego mieszkaniu, właśnie nadesłał życzenia z okazji 80-dziesiątych urodzin swego pierwszego trenera. W życzeniach tych czuć było przyjacielską „chemię”; pan Marciniak był wyraźnie wzruszony; miałem wrażenie jakby był kochającym ojcem byłego podopiecznego, który mimo pełnienia rozlicznych wysokich funkcji znalazł czas, aby złożyć mu życzenia. Przypomnę, iż Czesław Lang, późniejszy wicemistrz olimpijski, spod trenerskich skrzydeł pana Euzebiusza „wyfrunął” do WKS „Legia” Warszawa pod koniec 1979 roku. W swojej zawodniczej karierze przejechał jedenaście razy wielkie „Tourey”, dwadzieścia lat uprawiał kolarstwo, w tym dziewięć zawodowo (jest pierwszym zawodowym kolarzem w Polsce). Obecnie jest dyrektorem firmy „Lang Team”, organizującej prestiżowe imprezy kolarskie w kraju, ale także za granicą. Pomimo lat i natłoku zajęć dalej jeździ na „kolarzówce”. Bytów i rodzinne podbytowskie Kołczygłowy często umieszcza w grafiku organizowanych przez siebie imprez.

* * *

O wielkiej pasji p. Euzebiusza niechaj świadczy wielokrotne pokonywanie rowerem odległości Bytów -Koszalin, liczącej ponad sto kilometrów (przez Suchorze, Korzybie) i drugie tyle z powrotem. W ten sposób dojeżdżał na różne odprawy, pełniąc jednocześnie funkcję koordynatora kolarstwa na terenie woj. koszalińskiego. Talent i pasję odziedziczył po ojcu - Kazimierz, który przed II wojną światową, jako mieszkaniec Pińska, był zamiłowanym cyklistą oraz piłkarzem. I tak, jak później podobnie jego syn, organizował mecze piłkarskie, lokalne zawody, będąc jednocześnie sędzią i działaczem „od wszystkiego” w jednej osobie. Procentowało to nie tylko w genach potomków, ale i w organizacji podwalin sportu w powojennym Bytowie. Pan Kazimierz, razem z zastępcą naczelnika poczty, Marianem Trazickim, organizował dla chętnych zawody rowerowe, głównie na rowerach służbowych poczty.

Okres, w którym wraz z rodzicami i dwoma braćmi, pojawił się w Bytowie Euzebiusz Marciniak, a w późniejszych latach jego zaangażowanie i cenniona społecznie, sportowa pasja, dla podupadłego, powojennego miasta, stwarzała zręby środowiskowej samo-realizacji i integracji, by w niedalekiej

perspektywie stać się chlubą regionu. Człowiek ten pobudzony ideą, iż oprócz chleba oraz dachu nad głową można i należy znaleźć dla siebie nieco przyjemności w rozrywce jaką jest sport, zarażał innych dewizą „chcieć to móc” oraz „gdzie ochota, tam i robota”, co skutecznie wpływało na uczestników tych przedsięwzięć. Potrafił również zjednywać „dla sprawy” coraz to nowych zwolenników i entuzjastów. Sukcesy, które niebawem się pojawiły, jego samego i innych, utwierdzały w przekonaniu obrania słusznej drogi. Dzisiaj możemy to określić modym ostatnio słowem, iż generowało to następne wysokie osiągnięcia. Od momentu zaistnienia sekcji kolarskiej w Bytowie sukcesywnie pojawiała się cała paleta imprez; a to przełajowe mistrzostwa powiatu i województwa, a to kryteria uliczne, mistrzostwa sekcji (Tuchomie, Kołczygłowy), a to wyścigi górskie, australijskie, punktowe, wreszcie - wyścigi szosowe. Z pewnością oprócz pana Euzebiusza, na takie osiągnięcia zapracowały wymienione i nie wymienione w tym artykule osoby, a nawet te tzw. anonimowe. Jednakże tym, który „poruszył niebo i ziemię”, w dziedzinie bytowskiego kolarstwa niewątpliwie jest i pozostanie Euzebiusz Marciniak. Był wówczas wszystkim w jednej osobie: trenerem, magazynierem, kasjerem, mechanikiem, starterem, etc. Zawsze skromny, stanowczy, wymagający i przyjacielski. Kiedy go poznałem, bliski był końca trenerskiej aktywności. Do dzisiaj, pomimo upływu lat, zachowuje pogodę ducha oraz żyje kolarskim sportem. Na pytanie, czy niczego nie żałuje, odpowiada: „Na pewno, gdybym ponownie miał tamte lata, organizowałbym kolarstwo na jeszcze wyższym poziomie”. To, że niemożliwe może być możliwe, dla tych, którzy hołdują powiedzeniu, iż nie porywa się „z motyką na słońce”, zaświadcza sukcesy w wysiłku do celu, zwłaszcza z początków działania pana Euzebiusza, określane powiedzeniem: „Klub ma pieczęć, lokal puste konto bankowe, ale ma też... Marciniaka”. Do dzisiaj pozostaje autorytetem kolarstwa i „dobrym duchem” dla obecnych działaczy oraz zawodników kolarskiej „Baszty”. Sekcja bowiem nadal istnieje i odnosi również pewne sukcesy.

* * *

Pan Euzebiusz, wspólnie z żoną Zdzisławą wychowali czwórkę swoich dzieci: dwie córki i dwóch synów.

Doczekali się jedenaścioro wnuków i czterech prawnuków. Najstarszy z synów Daniel z powodzeniem uprawiał kolarstwo, m.in. zwyciężał w kryteriach: w Koszalinie, Szczecinku, Gdańsku i Szczecinie, ale po pewnym czasie wchłonęła go „proza życia”, co spowodowało rezygnację z zawodniczej kariery. Młodszy syn, Roman także uprawiał kolarstwo. Dzisiaj obaj czynią to w sposób amatorski, dla własnej przyjemności.

Równolegle pan Euzebiusz pielęgnuje inne zainteresowania, a mianowicie zbieractwo i kolekcjonerstwo. To co znajduje się w jego prywatnych zbiorach zapiera dech nawet osobie, która w jakimś tam stopniu obcuje na co dzień z historycznymi pamiątkami, bibelotami i różnymi już nieużytkowymi, wartościowymi rzeczami. Aby sprostać ogromu zbiorów, jakimi szczyci się domowe muzeum państwa Marciniaków, trzeba być niezłym koneserem sztuki. Szkoda, że tak bogata, cenna kolekcja nie znajduje bardziej obszernej pomieszczenia, opieki konserwatorskiej i mecenatu instytucji publicznej. Umożliwiłoby to szerszemu ogółowi społeczeństwa, szczególnie młodzieży, poznanie i poszerzenie własnej wiedzy o wytworach ludzkiej myśli, często o zaskakującym pięknie i kunszcie ich wykonania oraz specjalnym, artystycznym, także bardziej praktycznym przeznaczeniu. I tak, w zbiorach pana Euzebiusza mamy kolekcje znaczków pocztowych, monet, znaczków piwnych, kapsli, szkła, są też liczne guziki, herbowe, wojskowe, np. z okresu armii gen. Hallera, gen. Berlinga, gen. Andersa, okresu zaborów, przedwojenne, mundurowe, m.in. marynarki wojennej, szkolne, urzędnicze, jest również duży zasób odznaczeń, dodatków, ekwipunku, rynsztunku, egzemplarze mundurów, etc.

* * *

Kiedy piszę te ostatnie słowa, za oknem pełnię księżycy przysłania cień naszej planety. Ziemia tańczy ze swoim cieniem! Poświata księżycowa zapada w ciemność ogrzaną światłem naszego globu. I cóż za znaczenie ma ludzka, tu na Ziemi, misja tworzenia? Jaka jest tego wymowa? Astrologzy mają na to odpowiedź, ale i tak ona nie wyjaśnia potęgi sensu istnienia i jakichkolwiek działań w tym zakresie, więc: „Róbmy swoje”.

Piotr, Wiktor Grygiel, Jasień

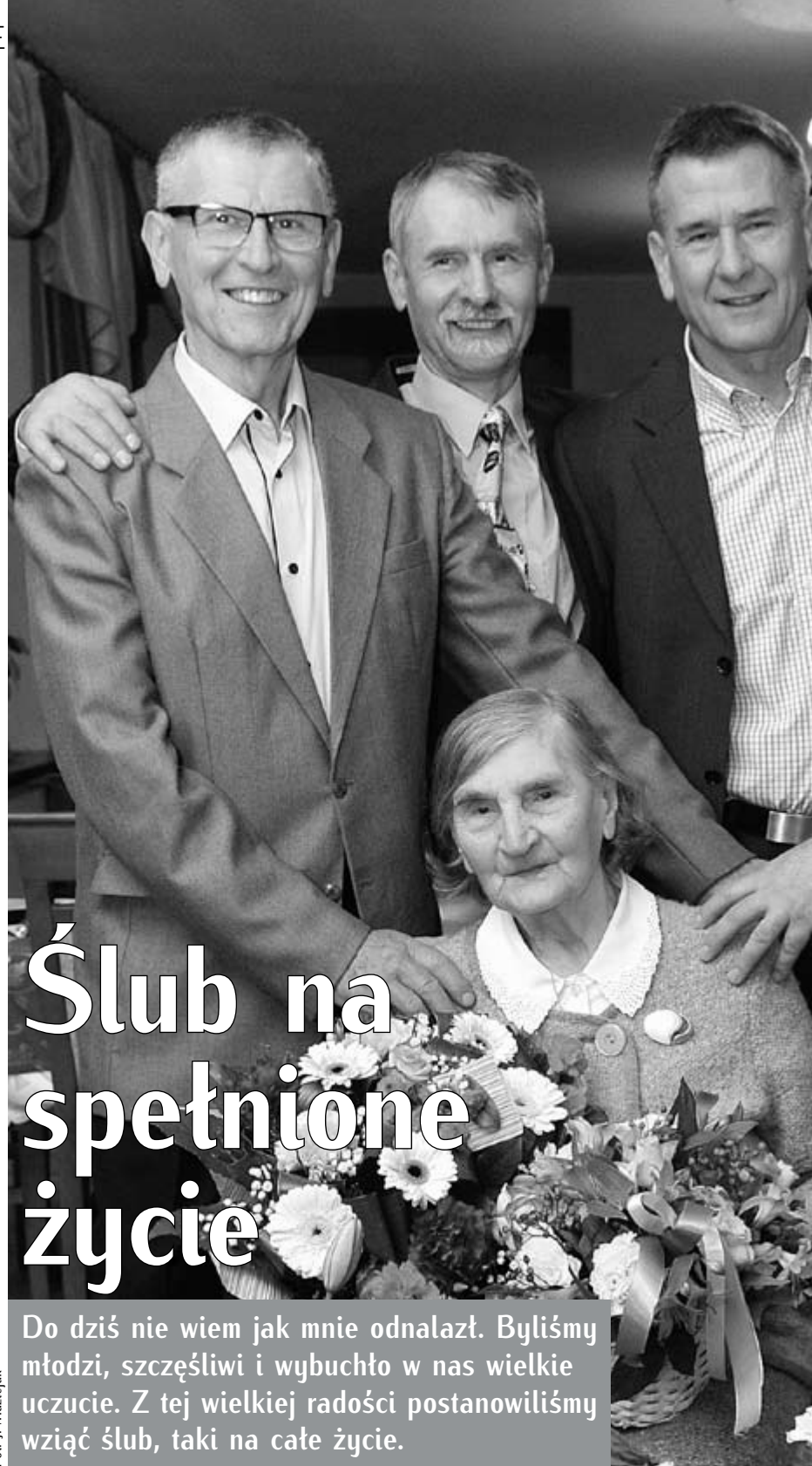
Z Ganami znam się od wielu lat, są przecież członkami Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna w Słupsku. Roman prowadził działalność handlową. Wybrał kierunek wschodni. Kontakty biznesowe nawiązał na Białorusi. Pewnego dnia poznał tam młodą mieszkankę Mińska. Okazało się, że jest studentką i kończy medycynę. Pojechał drugi raz, a za trzecim, w 1998 roku poszli do merostwa i wzięli ślub! Swietłana było jej na imię. Wybrankę przywiózł do Słupska. Mama aż usiadła z wrażenia, bo Roman nikogo z rodziny nie uprzedził.

Dziesięć lat temu w Dębnicy Kaszubskiej kupili dom. Mają dwie córki: Justynę i Paulinę (uczenice LO nr 2 w Słupsku). Swietłana jest lekarzem w przychodni kolejowej przy ulicy Wileńskiej w Słupsku. Ambitna, cierpliwa i pracowita. Zalicza kolejne specjalizacje. Ma liczne grono pacjentów, którzy z sympatią mówią o niej: „to nasza pani doktor”. Właśnie Swietłana i Roman przybyli z zaproszeniem na urodziny mamy. Więc kwiaty, album, telefon do Janka Maziejuka i jedziemy.

Anastazja to imię pochodzenia grecko-chrześcijańskiego. Do Polski dotarło w XIII wieku. Nosiło je wiele sławnych kobiet, m.in. córka Jarosława Mądrego, żona Iwana IV Groźnego, żona Bogusława I, najmłodsza córka ostatniego cara Rosji - Mikołaja II, Anastasia Stratakis - amerykańska śpiewaczka i aktorka pochodzenia greckiego, Nastassja Kinski - niemiecka aktorka filmowa, no i wreszcie nosi je nasza jubilatka Anastazja Gan - od wielu lat mieszkanka Słupska.

W restauracji nad Słupią ustawilo się kilkadziesiąt osób, liczna rodzina, koleżanki, ludzie z Kresów i sąsiedzi. Trwało oczekiwanie. Wreszcie się pojawiła. Swietłana i Roman wprowadzili dostojną jubilatkę. Anastazja Gan właśnie 3 listopada br. ukończyła 90 lat! Rozległo się „100 lat”, wznieziono szampańskie toasty i ustawiła się długa kolejka z życzeniami do jubilatki. Były kwiaty, kwiaty, prezenty. Kresowianka z krwi i kości nie ukrywała wzruszenia.

Przenieśmy się teraz w lata dwudzieste XX wieku. Osiemnaście kilometrów od Oszmiany - na Wileńszczyźnie znajdował się majątek Skirdzimy. To właśnie tam trzeciego listopada 1925 roku urodziła się Anastazja. Jej rodzice: Malwina i Franciszek Juchiewiczowie należeli do



Ślub na spełnione życie

Do dziś nie wiem jak mnie odnalazł. Byliśmy młodzi, szczęśliwi i wybuchło w nas wielkie uczucie. Z tej wielkiej radości postanowiliśmy wziąć ślub, taki na całe życie.

średnio zamożnej szlachty, mieli sto hektarów ziemi, młody las, strumyki... Żyło się im tam spokojnie, pracowicie i dostatnio.

Wybuch wojny początkowo tego spokoju nie zakłócił. Pani Anastazja wspomina tamten okres: - Weszli Rosjanie i wszystkich mężczyzn wcielali do wojska. Miałam starszego o pięć lat brata - Czesława. Jego też zabrali i wysłali na front północny do Finlandii i on tam zginął. Dla rodziców i dla mnie to było straszne przeżycie. Pew-

nego razu poznałam młodego, trochę starszego ode mnie mężczyznę. Nazywał się Jan Gan. Przed wcieleniem do wojska uciekł do lasu. Był w partyzantce. Potem ukrywał się w ziemiance. Takie to były czasy. Pewnego dnia powiedział, że zgłosił się do 2 Armii Wojska Polskiego i idzie walczyć o wolną Polskę. Poszedł i ślad po nim zaginął. Miałam wtedy siedemnaście lat i było mi smutno, że jego może już nie zobaczę, bo ja go polubiłam i myślałam, że on mnie też polubił.

Fot. J. Maziejuk



Latem 1945 razem z rodzicami wywieziono nas do Polski. Trafiliśmy do Zawidowa koło Zgorzelca. Na nowym miejscu ciężko było ułożyć życie. Wspominałam tego partyzanta. Wtedy było dużo młodych mężczyzn, którzy wracali z wojennej tułaczki, ale ja się za kawalerami nie oglądałam, bo w sercu nosiłam pamięć o nim. No i pewnego dnia niebo się otworzyło: w drzwiach stanął właśnie on! Nie zginął. Z armią polską przeszedł szlak do Budziszyna. A potem wszędzie mnie

szukał i szukał. We mnie wstąpiła wtedy wielka radość i nadzieja. Do dziś nie wiem jak mnie odnalazł. Byliśmy młodzi, szczęśliwi i wybuchło w nas to wielkie uczucie. Z tej wielkiej radości postanowiliśmy wziąć ślub, taki na całe życie. W Zawidowie nie było księdza, to pojechaliśmy do Czech, bo było blisko i w środę, 5 czerwca 1946 roku w Sztymbarku wzięliśmy ślub. Zamieszkaliśmy w nowym, dużym domu we Wrociszowie Dolnym. Za ścianą mieszkała Czesia Sławeczka, która teraz też mieszka w Słupsku. W tym Wrociszowie 16 lutego 1947 roku urodziłam nasze pierwsze dziecko. To był syn, nadaliśmy mu na imię Roman. Potem był pożar, cały dom się spalił, nawet nie było co zbierać. Wyjechaliśmy do Słupska, gdzie wcześniej przenieśli się rodzice. Zamieszkaliśmy w domku przy ulicy Wrocławskiej, a później, aż do dziś - przy ulicy Przemysłowej.

Pracowałam z mężem w SAFO. Mąż był majstrem. Mijaliśmy się w domu, bo pracowaliśmy na różne zmiany. Było ciężko, ale szczęśliwie i to tak szczęśliwie, że urodziłam pięciu synów i jedną córkę. Roman - najstarszy - był naszą najważniejszą podporą. Mąż od dziecka przyuczał go do pracy. No, bo co człowiek wart bez pracy? Wszystkie dzieci trzymał twardą ręką, żeby wyszły na ludzi. Roman był właśnie prawą ręką ojca. Nosił węgiel, palił w piecu, sprzątał mieszkanie, robił zakupy i jeszcze znajdował czas na wojny podwórkowe z kolegami pomiędzy ulicami Przemysłową i Pankowa. Potem Roman tego wszystkiego uczył młodszego brata Mirka. Żyliśmy spokojnie i pracowicie. Rodzina się powiększała, bo miłość była w nas. Wszystkie nasze dzieci ukończyły szkoły średnie, ogólne i techniczne.

Dziesięć lat temu zmarł mąż. Wcześniej długo chorował na gruźlicę. Ale lekarze szczęśliwie go wyleczyli i jeszcze kilka lat pożył. Jan urodził się w Kijowie, mieszkał też w Wilnie. To był dobry człowiek i jako mąż, i jako ojciec. Przeżył 86 lat... Dziś kończę dziewięćdziesiąt lat. To smutne, że aż tyle, ale i radość, że dożyłam. Wie pan, dla matki, zwłaszcza w tym wieku, to dzieci są najważniejsze.

Powiem Panu po kolei: Roman - mówiłam: prawa ręka męża. Gospodarny, z żoną Swietlaną wożą mnie na wigilię i wielkanocne jajeczko do Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna, bo razem tam należymy. Wie pan, ja

bym z nimi jeszcze i na zabawy pojechała, bo co człowiek użyje, to jego, ale moje nogi nie mają już tych osiemnastu lat. Szkoda. Mirek - w Słupsku prowadzi zakład samochodowy. Troje dzieci wyjechało na studia do Wrocławia. Krzysztof - był rybakiem, dziś już jest na emeryturze. Joanna - to moja jedynaczka, skarb prawdziwy! Też mężatka, ma dwoje dzieci i tyle w sobie ciepła i serdeczności. Ona najwięcej czasu dla mnie poświęca i troskliwą miłością otacza. Grzegorz - z żoną Anną prowadzą działalność gospodarczą. Mają dwoje dzieci. Robert - to mój najmłodszy rodzynek. Jeszcze kawaler, mieszka i pracuje w Wiedniu. Szkoda, że tak daleko, ale na moje urodziny przyjechał. Dobry chłopak.

Powiem panu, ot tak, w tajemnicy, żeby ktoś się ze mnie nie śmiał. Poprosiłam Romana, jeżdżąc po świecie, a ja już nie daję rady. No to, Roman i Swietłana pojechali w moje rodzinne strony. Odnaleźli majątek Skirdzimy. Ja od urodzenia nigdy tam nie byłam, a minęło całe, długie 90 lat. Swietłana zrobiła zdjęcia i jak mnie oni pokazali, to pożał się Boże. Z majątku nic nie zostało. Pola i zgliszcza. Nikt nawet ziemi nie uprawia, tylko las wyrósł wielki i tylko on mnie tam jeden pamięta. Roman i Swietłanka przywieźli dla mnie stamtąd taki prezent, że pan nie uwierzy. Przywieźli garść ziemi i kilka polnych kamieni. Jak je zobaczyłam, to coś mnie w gardle ścisnęło, nie mogłam słowa powiedzieć. Trzymałam te kamienie w rękach i długo płakałam. Takie było wzruszenie. Bo to była moja prośba: żeby coś stamtąd mieć. Te kamienie leżą teraz w moim pokoju obok tapczanu. Jak umrę, to Roman garść mojej rodzinnej ziemi posypie na trumnę. To i będzie mnie lżej i nie smutno odchodzić. A te kamienie to Roman położy u siebie w ogrodzie w Dębnicy Kaszubskiej. Każdego dnia będą jemu przypominać o mnie. Rok temu byłam na koncercie Kapeli Wileńskiej, która zaśpiewała taką piękną piosenkę... „pod tą ziemią tak słodko się śpi”... I tak wtedy sobie pomyślałam, że tak będzie i ze mną. Ale, póki co żyję, bo mam dla kogo żyć.

Ot, widzi pan, mam tak ich dziś wszystkich przy sobie. Te łzy to z radości, że tego dnia dożyłam. Szkoda, że męża już nie ma, ale dzieci są wszystkie. I ja mam z nimi spełnione życie...

Marian Boratyński, Słupsk

Ta tragedia jest ciągle żywa...

Jeszcze żyje wielu świadków traumatycznych wydarzeń na Wołyniu. Domagają się ujawnienia prawdy o ludobójczej zbrodni dokonanej przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach.



Předstawianie dramatycznych przeżyć mieszkańców Wołynia to nasz narodowy obowiązek. Są to niewiarygodne wojenne i powojenne losy Polaków, którzy doświadczyli okrucieństwa sowieckiego, niemieckiego i bestialskich mordów ukraińskich nacjonalistów. Wołyniacy na ziemi słupskiej zamieszkują m.in. w Moźdzano-

wie, Starkowie, Zaleskich. Tu osiedlili się po wojnie, jako repatrianci ze Wschodu, a teraz dożyli sędziwego wieku. Są to przeważnie kobiety, które łączy wspólna tragedia ludobójstwa i utraty osób najbliższych.

Edmunda Baranowska (z domu Borecka) mieszka w Moźdzanowie. Urodziła się w 1935 roku we wsi Tar-

za na Wołyniu. Opowiedziała mi o wydarzeniach 10 kwietnia 1943 roku. Wieś Tarża, zamieszkała przez ludność polską, została w tym dniu spalona. Jej spalenie było poprzedzone ogólną psychozą wywołaną wieściami o barbarzyńskich poczynaniach UPA. We wsi tej w tamtym czasie mężczyźni już utrzymywali społeczne warty i pilnowali bezpieczeństwa ludności polskiej, ponieważ wcześniej zdarzały się już napady na siedliska polskie. Natomiast kobiety i dzieci w nocy chowały się w ziemiankach na polu, z dala od domostw.

Edmunda Borecka pamięta, że w tym tragicznym dniu jej ojciec wyjechał w pole siał zboże i dlatego ocalał. Brat ojca, Edward, który był na miejscu został zamordowany. Ona była z siostrą ubrana przez mamę i przygotowana do ucieczki, ale nie zdążyły uciec. Ukraińcy przyszli i kolejno palili wiejskie zagrody, podpalili również dom Boreckich. W ostatniej chwili mama wyrzuciła Edmundę i jej siostrę przez okno. Napastnicy do domu nie weszli, ale wszystko spalili. Stryjek schował się w stogu siana i spłonął żywcem.

Są to przeżycia, które tkwią w jej pamięci, a była wtedy zaledwie 8-letnią dziewczynką. Dobrze zachowały się w jej pamięci też inne bestialskie zachowania Ukraińców, którzy dokonywali ludobójstwa na ludności polskiej, napadali przeważnie nocą, pospiesznie podpalali zabudowania; mordowali mieszkańców lub palili żywcem. Następnie zbrodniarze przywłaszczali sobie dobytek, a czego nie zagrabili, to zniszczyli.

Rodzina Edmundy Boreckiej po wtórnie się uratowała, ponieważ na polu ojciec zbudował kryjówkę, do której się chowali. Uratowany w tym samym dniu ojciec, kiedy wrócił, odnalazł rodzinę właśnie w tej kryjówce. W obawie przed bandytami zabrał ich w bardziej bezpieczne miejsce, do wyrobiska po szklanej hucie, gdzie w głębszym dole się ukryli a, dla niepoznaki wejście do wyrobiska przykryte było obornikiem. W ten sposób wszyscy uratowali się od zagłady.

W tej wsi, w pamiętnym dniu, ci jej mieszkańcy, którzy nie uciekli, zostali zamordowani, zginęło w sumie 53 Polaków! Kolejne losy tej rodziny to ucieczka do miasteczka Kołki. Tam Boreccy spędzili dwa tygodnie u krewnych, Kownackich. Gdy i tu były napady na polskie gospodarstwa usy-

tuowane na obrzeżach miejscowości, wyjechali do wsi Przebraż, gdzie była już zorganizowana polska samoobrona. Miejscowość ta była dobrze przygotowana i przeszła do historii, jako niezdobytą mimo trzykrotnego potężnego ataku UPA.

Z Przebraża jednak Edmunda Borecka wywiozła najbardziej straszne wspomnienia. Chodziła z rodzicami na pogrzeby osób przywożonych z okolicznych wsi i widziała makabrycznie okaleczonych ludzi: dzieci powbijane na widły, na sztachety, ciała porąbane i rozczłonkowane. Widok ten prześladowa ją do dziś, mimo podzłego już wieku.

W styczniu 1945 roku przewieziono rodzinę Boreckich do Chełmna Lubelskiego, skąd udała się do wsi Horodyszcz. Ojciec został tam wcielony do wojska i zginął pod Garwolinem. W Horodyszczach byli cztery miesiące. Następnie wujek zabrał ich na Ziemię Odzyskaną, do Charnowa pod Ustką. W kwietniu 1947 roku mama - jako osadnik wojskowy dostała gospodarstwo w Możdżanowie. Edmunda Borecka wyszła za mąż za Jerzego Baranowskiego, a po skończeniu studiów została nauczycielką, na początku w szkole w Ustce, a potem w Zaleskich i Możdżanowie.

Inna z żyjących kobiet, która doświadczyła tragicznych losów w czasie pobytu na Ukrainie, Zofia Maciejewska, z domu Domańska, zamieszkała po wojnie w Starkowie. Urodziła się 28 sierpnia 1930 roku w Kamiennej Górze, w powiecie Krzemieniec. Miejscowość ta została w czerwcu 1943 roku spalona przez Ukraińców. Jej ojciec Aleksander po I wojnie światowej zagospodarował tutaj 30 ha ziemi, założył tartak i małe zakłady bednarskie. Był ceniony przez społeczność nie tylko polską, ale też ukraińską za pomoc udzielaną mieszkańcom.

Przed spaleniem miejscowości rodzina Domańskich uciekła do Dubna, gdzie cierpiała głód. Miejscowość ta była mocno przeludniona. Ojciec zdecydował się powrócić po pozyskaniu do Kamiennej Góry, a w drodze powrotnej został w sposób okrutny zamordowany - razem ze swoim bratem. Rozpoczęła się gehenna dla Franciszki Domańskiej i jej czwórki małych dzieci. Po wojnie zostali wysiedleni do Chełmna, a stamtąd przyjechali na Ziemię Odzyskaną, do powiatu ślupskiego.

Liczni osadnicy z Wołynia, zamieszkujący powiat ślupski, zasługują na specjalną uwagę. Ich wspomnienia powinny być opracowane i wydane, jako jeszcze jeden dokument na potwierdzenie tragicznych wydarzeń, jakie dotknęły polską społeczność kresową. Ludobójstwo na Wołyniu to bowiem, mimo upływu już wielu lat, rany niezabliźnione u żyjących Polaków.

O tamtych okrutnych wydarzeniach mówi też film Adama Sikorskiego, wybitnego dokumentalisty, redaktora programów w TVP Historia. W filmie pt. „Jeżeli zapomnimy o nich...” opowiada on historię masowej akcji przeciwko ludności polskiej przeprowadzonej przez Ukraińską Powstańczą Armię na Wołyniu. Twórca skupił się na jednym z najbrutalniejszych epizodów rzezi wołyńskiej - mordzie blisko tysiąca Polaków w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej w roku 1943, dokonanych na dzieciach, kobietach i starcach.

W filmie tym wystąpili ostatni żyjący świadkowie tych tragicznych wydarzeń, przy pomocy których można było odnaleźć doły śmierci, a potem dokonać ekshumacji szczątków ludzkich i złożyć je w mogile z krzyżem. Jest to bardzo poruszająca i przerażająca opowieść o Polakach z Kresów, którzy „umarli na zawsze”, bo przez wszystkie lata, jakie upłynęły od tych nieludzkich wydarzeń, nie można jakoś ich ofiarom przywrócić tożsamości.

Film pokazuje tylko fragment tego, co jeszcze jest do zrobienia na Wołyniu. Dla nas, Polaków jest to gigantyczne zadanie moralne - ekshumacja zamordowanych osób z przypadkowych grobów - z ugorów, bagien, pastwisk po kołchozach, rowów przydrożnych i ogródków warzywnych. Powinniśmy zrobić wszystko, aby zapewnić im chrześcijański pochówek, ustalić i zwrócić tożsamość.

- Musimy się tego domagać, przedstawiać fakty o okrutnej prawdzie, póki żyją jeszcze naoczni jej świadkowie. Mimo że jest to niepoprawny temat politycznie. Należy przypominać o tych wydarzeniach, drażnić dopóki tej sprawy nie załatwią nasi politycy - uważa reżyser filmu, Adam Sikorski. Przypomina scenę z filmu, kiedy przez Lwów maszeruje grupa rekonstrukcyjna UPA. Był to fragment gigantycznej manifestacji. Cały ukraiński Lwów wyległ i

wzdłuż Wałów Hetmańskich (dzisiaj Prospekt Swobody), ustawił się i machał przyjaźnie rękami tym, którzy na patkach mieli swastyki i oznaczenia SS Galizien, tzw. „wilcze kły”.

- Ta mitologia SS Galizien, tak zbrodniczo we krwi skąpanej, dla nas jest zupełnie niepojęta, teraz jest odświeżana. To nie jest kwestia rozrachunku z przeszłością, to jest również teraźniejszość - uważa reżyser filmu.

Dziś nieliczna garstka polskich intelektualistów prowadzi ciągle jeszcze monolog z najnowszą historią tamtych ziem, a nie dialog polsko-ukraiński o prawdzie i pamięci, który byłby zapoczątkowanym wstępem do myślenia o przebaczeniu i pojednaniu

- Gdy skończyliśmy zdjęcia, schowaliśmy tych wydobytych nieszczęśników do worków i wtedy wieczorem pod cmentarz w Ostrówku (tam mieszkaliśmy w namiotach, po sąsiedztwie z pochowanymi tam przed wojną) zajechało pięć eleganckich czarnych limuzyn - relacjonuje współczesne już wydarzenia A. Sikorski. - Wyskoczyli gentelmani w garniturach z partii Swoboda i powiedzieli, że zabierają to wszystko, nie zgadzają się z naszym raportem, nie zgadzają z naszym antropologiem i naszymi ustaleniami. Wówczas nasza antropolog powiedziała: - Nie! I zaczęły się przepychanki, liczenie kości, coś okropnego. Wysypywanie tego, co tak pracowicie do trumienek powkładaliśmy. Niepojęta, barbarzyńska akcja. Wszystkich, którzy mitologizują tych, szczególnie z prawej strony ukraińskiej sceny politycznej, namawiam do wstrzeźliwości.

Ciąg dalszy relacji: - Jechaliśmy na spokojne uroczystości na cmentarz, na pogrzeb. Ale zaraz za granicą, z przodu radiowóz ukraiński, z tyłu radiowóz, dwa autobusy OMON-u, czyli takiego ZOMO z bronią długą. Okazało się, że partia Swoboda chciała, podobnie jak w Porycku, rozpętać polską uroczystość. Nie doszło do tego, ale to pokazuje jak wyglądają te porachunki z przeszłością. Są takie rachunki od których żaden z nas uciec nie może. Musimy to mocno akcentować.

Państwo polskie ma obowiązek upomnieć się o tych zagubionych, odrzuconych i zapomnianych.

Nasi dokumentaliści z wielkim pietyzmem podejmują obecnie ten „nienośny” politycznie temat. Znany lwowski dziennikarz Antin Borkowski

w piśmie „Ji” napisał: „...na Ukrainie nie ma poczucia, iż na Wołyniu doszło do zbrodni na polskiej ludności cywilnej”. Podręczniki obowiązujące w szkołach ukraińskich przekazują zafalszowaną historię, nie wskazują kto był katem, a kto ofiarą w zbrodni wołyńskiej. Są to przeszkody do prawdziwego zbliżenia polsko - ukraińskiego.

Dużą rolę w procesie pojednania między narodami mogłyby odegrać Kościoły - w Polsce i na Wołyniu. Polska już wielokrotnie uczciła ofiary ludobójstwa. W Chełmie stanął wymowny pomnik z granitu o nazwie „Pieta Wołyńska”. Przedstawia Matkę wynoszącą z płonącego domu martwego chłopca, jej noga nastąpiła na siekiere, jako symbol narzędzia mordu Polaków. Na cokole jest przedwojenny herb województwa wołyńskiego - krzyż maltański z orłem piastowskim, a poniżej napis:

„Jeżeli my zapomnimy o Nich, Ty, Boże zapomnij o nas. - Pamięci Polaków, pomordowanych na Kresach Wschodnich, ofiar ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów - członków OUN - UPA w latach 1943 - 1945 oraz tych braci Ukraińców, którzy za ratowanie Polaków zapłacili cenę najwyższą”.

Ale strona ukraińska nie jest zainteresowana ujawnianiem Ukraińców, którzy przeplacili życiem za pomoc Polakom.

Jednak czy można zapomnieć o ludobójstwie? Polacy coraz lepiej poznają historię tamtych wydarzeń. Odsłania się nie tylko pomniki, wydaje się już liczne publikacje, kręci się filmy, dokumentuje dokładnie fakty, aby utrwalić pełną prawdę o Wołyniu, uchronić od zapomnienia i uczcić w ten sposób pomordowanych Polaków. Naród Ukraiński musi wiedzieć też o tych wydarzeniach, a nie żyć w kłamstwie i zafalszowanej historii, marginalizując sprawę polską. Ukraina, jeżeli chce budować z Polakami przyszłą wspólnotę europejską, musi ujawnić całą prawdę, umożliwić godny chrześcijański pochówek pomordowanym. Jest to obowiązek nowego pokolenia obu narodów, które nie może zapomnieć o Tragedii Wołyńskiej.

**Włodzimierz Lipczyński,
Słupsk**

Karmienie wyobraźni, i gołębi, jesienią

Dobrnąłem do bariery szacunku dla śmierci. Szacunku, który jej się należy z tej to przyczyny, że poprzez nią, poprzez śmierć właśnie, może dalej rozwijać się życie.

Siedzę sobie w parku wśród jesiennych liści i osłonięty murem pod którym zaległo się trochę jesiennego słońca, ogrzewam kolana ciepłem laptopa. Jesień to rzeka przepływająca przez nasze serca nostalgii. To rzeka czasu zmierzająca zarówno w przeszłość, jak i w dosłownej rzeczywistości ku kończącym się koncertom świerszczy, letniej muzyki ptaków, strumieniom ściekających w próżnię zapachów i woni sycących i kojących nasze zmysły, serca.

Jesień dopóty, dopóki nie odwiedzę cmentarzy, na których leży już całkiem sporo moich bliskich, jest artystycznie piękna, ekscytująca. Mami artystów i poetów barwami, które natychmiast chcieliby umieścić na płótnach obrazów, w wierszach, koncertach, melodiach, piosenkach. Jesień śpiewa w nas, my pławimy się w jesieni. Dopóki... - jak powiedziałem - nie spojrzymy na nią z drugiej strony.

Ale odwiedzam cmentarze, idę na groby bliskich, obserwuję strumienie ognia palących się zniczy, łuny pamięci nad mogiłami tych, którzy jeszcze niedawno wśród nas tu byli, i robi mi się tak jakoś zupełnie inaczej. Tak bardziej rzewnie, smutno, tak egzystencjalnie chłodno, że brrr, moim ciałem wstrząsają dreszcze, a duszę wypełnia smutek, serce przeszywa ból niewiadomego pochodzenia, który zadaje pytania typu: dlaczego?

Zamiast ku radości i zadowoleniu ze złota kapiących z drzew liści, myśli moje biegną ku przemijaniu, wy-

pełnia je filozoficzna zaduma nad kruchością życia, nad tymczasowością tego wszystkiego co nas otacza, nad sensem podejmowania wyzwań, które



Fot. J. Maziejuk

często wymagają poświęceń, ogromnych poświęceń, lub wyrzeczeń, na które stać tylko nielicznych.

Nie odkrywam Ameryki, wiem, wszyscy przeżywamy podobnie, ale... gdybym przesunął ten obszar w zupełnie innym nie poruszonym dotąd kierunku: co by było, nie gdyby Ci, którzy odeszli, tworzyli nadal?, ale w obszar: kim by byli, co by stworzyli Ci, którym takich szans nie dano? Myślę o tych milionach żołnierzy, młodych mężczyzn, których pochłonęły światowe wojny. Myślę także o tych, którzy na skutek wojen, głodu, ludzkiej biedy nigdy nie oderwali się od swojej młodości, nigdy nie przekroczyli progu dorosłości, którym nie dano, którym uniemożliwiono normalny rozwój, egzystencję, kształcenie się w zdobywaniu doświadczeń życiowych i wiedzy... Jakie wtedy byłyby księgi, dzieła, nauki, wynalazki, do czego wtedy doszłaby ludzkość?

Filozofia, filozofia... Mądrość, wiedza, szacunek dla ludzkich zdo-

byczy. To jak życie na ziemi do czasu, dopóki nie nadejdzie jesień. Dopóki nie zaczną z drzew opadać liście, ziemi nie sparzy przymrozek, nie zetnie pierwszych kwiatów, nie odmieni zielonej wyspy szczęścia w białą lodową, sterylną przestrzeń. Przestrzeń, na której kiedyś, w tym przypadku wiadomo - wiosną, znów będzie można tworzyć nowe, rodzić życie.

Mam swoje upodobane dzieła. Mam upodobanych twórców, pisarzy, malarzy, myślicieli, którzy zapewne wywarli wpływ na moją osobowość, psychikę, dzięki którym jestem taki a nie inny, mam też w sobie duszę artysty, i wiem, że w zupełnie innych warunkach, gdyby ten odeszły świat, gdyby ta zaprzeszła przeszłość odwróciła się na lewą stronę i potoczyła innym korytem rzeki, mogłoby na przykład mnie tu nie być lub mógłbym żyć w zupełnie innym świecie. A może - z drugiej strony - już tak się dzieje, bo właśnie poprzez śmierć innych my możemy żyć, my możemy tworzyć, my

możemy czynić to, czego nie mogli czynić Oni.

Zmierzam zatem, a raczej dobrnąłem do bariery szacunku dla śmierci. Szacunku, który jej się należy z tej to przyczyny, że poprzez nią, poprzez śmierć właśnie, może dalej rozwijać się życie.

Siedzę zatem na ławeczce pod murem, który powoli wypełnia się jesiennym słońcem i nawet nie zauważam, kiedy moje ciało znów ogarnia przyjemne ciepło, moje oczy zaczyna sycić przyjemność oglądania spokojnego opadania kolorowych jesiennych liści. Pustoszące w parku drzewa odkrywają swoje nowe zagadki. - Zobaczyłem gniazdo, opuszczone przez jakieś ptaki, które zapewne było przez okres letni ich gniazdem rodzinnym.

Na skwerze jest pusto, jest cicho, mogę pisać, ale... Pojawia się starszy trochę zniedołężniały człowiek. Mężczyzna podchodzi do mojej ławki, siada na jej skraju, zdejmując z ramienia wyświechtaną brezentową torbę i wyjmując z niej reklamówkę wypełnioną czerstwym pieczywem. - Będziemy karmić gołębie - wyjaśnia od niechcienia i rozkrusza pierwszą kromkę suchego chleba, rozrzucając jej okruszki wokół siebie. Nagle nie wiadomo skąd pojawia się pierwszy ptak. Potem kolejny. Następnie zjawiają się gołębie i drobne mewy, które tylko dlatego są większe od gołębi, że mają wysokie nogi, by wreszcie w krótkim czasie wokół ławki zakotłowało się od ptaków.

Jeden z nich przysiadł się nawet na kolanie mężczyzny i próbuje jeść mu z ręki. Mężczyzna, który sam wygląda na bezdomnego, karmi gołębia, po czym odwracając się do mnie wyjaśnia: trzeba kochać zwierzęta. To znaczy kochać ptaki i zwierzęta, bo one najwięcej cierpią od ludzi. A ponieważ milczę, obserwując całe to zdarzenie z uwagą, po chwili zastanowienia dodaje jeszcze: Trzeba kochać zwierzęta, bo kochanie ludzi dziś zupełnie nie ma sensu, wie pan..?

No cóż, mam inne zdanie na ten temat, ale moje dzisiejsze karmienie świadomości jesienią na tej parkowej ławce, skończyło się właśnie. Miejsce to zajął bezdomny mężczyzna, który pozostał tam, by karmić, swoje, bezdomne ptaki.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz



Sześćdziesiąt lat w pałacu

Pozytywne zmiany w rozwoju i osiągnięcia edukacyjne uczniów z niepełnosprawnością będą dużo lepsze i szybsze, jeśli spełnione zostaną wszystkie wymagania stawiane specjalistycznym placówkom oświatowym.

1 września 1955 roku rozpoczął działalność Państwowy Zakład Wychowawczy w Damnicy - pierwsza po wojnie placówka kształcenia specjalnego na Pomorzu Środkowym. Zorganizowanie go powierzono Stefanowi Juszczykowi, który pełnił funkcję jego dyrektora tylko przez jeden rok szkolny. Musiał zmierzyć się z trudnym zadaniem adaptacji istniejących pomieszczeń pałacu oraz przystosowania ich do potrzeb i pracy nowej placówki. W jej skład weszła szkoła podstawowa i internat. W szkole podstawowej zorganizowano pięć oddziałów: dwie klasy pierwsze, klasę drugą, trzecią i czwartą. Urządzono i zaadaptowano pierwsze pomieszczenia na internat. Do zakładu kierowano dzieci ze stwierdzonym upośledzeniem umysłowym w stopniu lekkim i zaniedbaniami środowiskowymi. Realizując założenia dydaktyczno-wychowawcze pedagodzy starali się przede wszystkim utwierdzać w uczniach wiarę w siebie i w swoje możliwości.

Placówka stopniowo ulegała przeobrażeniom. Zmieniali się jej kolejni dyrektorzy i to właśnie na nich ciążył obowiązek utrzymania i modernizacji obiektu pałacowego. W kolejnych latach funkcję tę pełnili: Jan Rymaszewski (1957 - 1963), Władysław Kędzierski (1963 - 1968), Jarosław Duchnowicz (1968 - 1972), Ludwik Wirkus (1972 - 1977), Hanna Wirkus (1977 - 1980), Ludwik Wirkus (1980 - 1982), Romułd Proszowski (1982 - 1987), Zdzisław Kwaśniewski (1987 - 2005) i Władysława Hanuszewicz (2005 - 2015). Od 1 września br. funkcję dyrektora pełni Maria Janusz.

W latach 60-tych zagospodarowano położony wokół zabytkowego obiektu park. W kolejnym dziesięcioleciu przeprowadzono prace konserwatorskie w Sali Lustrzanej. Ponowna konserwacja plafonu przedstawiającego alegorię czterech pór roku miała miejsce w tej sali w 2013 roku. W 1984, za czasów dyrektora R. Proszowskiego, decyzją Kuratora Oświaty i Wychowania w Koszalinie, pla-



Fot. J. Maziejuk

cówka zmieniła nazwę na Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy. W tym okresie obejmuje on już kompleksową opieką pedagogiczną dzieci i młodzież z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim oraz umiarkowanym lub znacznym, dla których tworzone są tzw. klasy życia. W latach 90-tych ub. wieku dokonano w budynku całkowitej wymiany centralnego ogrzewania oraz przeprowadzono gruntowny remont kuchni i jej zaplecza. Położono nowe pokrycie na znacznej powierzchni dachu, wy-

mieniono i podniesiono kopułę nad słynną palmą, zdobiącą szkolną bibliotekę. Wyremontowano też łaźnię i umywalnie w piwnicach, ponadto zainstalowano piec c.o. typu EKO II.

Reforma edukacyjna w 1999 roku wprowadziła w Polsce trójstopniowy system szkolnictwa. W jej wyniku w skład damnickiego ośrodka, poza internatem i sześcioletnią szkołą podstawową specjalną, weszło trzyletnie gimnazjum specjalne. W roku 2000, na podstawie Uchwały Rady Powiatu Słupskiego, objęto w nim obowią-

kiem szkolnym dzieci i młodzież z głęboką, wieloraką niepełnosprawnością, m.in. w dwóch nowo utworzonych filiach: przy Domu Pomocy Społecznej w Przytoku i Domu Pomocy Społecznej w Machowinku. W roku szkolnym 2004/2005 powstała Szkoła Specjalna Przysposabiająca do



Pracy i Zasadnicza Szkoła Zawodowa Specjalna o kierunku: rolnik. W wyniku braku naboru, w sierpniu 2007 roku ta druga została zlikwidowana.

31 sierpnia 2005 roku, po osiemnastu latach sprawowania funkcji dyrektora, na emeryturę odeszli: Zdzisław Kwaśniewski i kierownik internatu - Daniela Drabik. 1 września stanowisko dyrektora objęła Władysława Hanuszewicz. W tym czasie nad właściwą realizacją zadań razem z dyrektorem czuwali wicedyrektorzy: Mirosława Sawicka-Glinka i Elż-

bieta Szczypek, kierownicy filii: w Machowinku - Małgorzata Michalska, w Przytoku - Anetta Jankowska oraz Bożena Kowalko - kierownik gospodarczy.

Rok szkolny 2005/2006 to rok półwiecza placówki. Na zakończenie roku jubileuszowego, podczas uroczystości szkolnych, 2 czerwca 2006 roku Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy otrzymał patrona, którym został Marynarz Polski. Od roku następnego, na podstawie porozumienia ze starostą słupskim placówka rozpoczęła realizację zajęć z zakresu wczesnego wspomagania rozwoju, których celem jest stymulowanie psychofizycznego rozwoju dziecka od czasu wykrycia zagrożenia niepełnosprawnością do momentu rozpoczęcia nauki w szkole. Od tego czasu damnicki ośrodek coraz bardziej zaczyna specjalizować się we wspomaganiu rozwoju dzieci i młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną, w tym ze sprzężeniami (z wadami słuchu, wzroku, uszkodzeniami narządu ruchu) i uczniów z autyzmem. W okresie tym kierownictwo ośrodka, zauważając potrzeby środowiska, zaczęło zabiegać o utworzenie oddziału przedszkola specjalnego. Jednak nie udało się go otworzyć.

W ostatnim dziesięcioleciu kontynuowano modernizację budynku dostosowując go do potrzeb uczniów z niepełnosprawnością. M.in. zainstalowano windę, wymieniono część stolarki okiennej na parterze i częściowo na pierwszym piętrze, kotłownię na miał zastąpiono nową - olejową. Doposażono ośrodek w nowe meble do internatu, ławki, krzesła, szafy do szkół oraz w sprzęt do pracowni gospodarstwa domowego. Wzbogacano bazę dydaktyczną placówki, tworząc od podstaw nowe pracownie i gabinety - salę doświadczenia świata, salę integracji sensorycznej, gabinet rewalidacji indywidualnej czy pracownię ceramiczną - prezentowaną przez szwedzką fundację. Zakupiono też nowe pomoce dydaktyczne, m.in. do pracy metodą M. Montessori, liczne komputerowe programy edukacyjne, świetlicowy plac zabaw „Radosnej Szkoły”, tablicę interaktywną. Na jubileusz 60-lecia placówka otrzymała od sponsora zagranicznego gabinet do terapii EEG Biofeedback.

Lata 2011 i 2012 to okres kolejnych zmian organizacyjnych, w czasie których zredukowano część kadry

administracyjno-obsługowej, oddając m.in. kuchnię szkolną w ajencję. Przystały też funkcjonować ciągi edukacyjne dla uczniów z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim. W sierpniu br., po piętnastu latach, przestały formalnie funkcjonować filie przy dwóch Domach Pomocy Społecznej. Przyszedł też czas na kolejną zmianę na stanowisku dyrektora.

Placówka przechodziła różne reformy, zmieniali się dyrektorzy, nauczyciele, pracownicy, uczniowie. Jedno było jednak niezmiennie - ośrodek zawsze stanowił zwartą społeczność, tworzoną przez pokolenia uczniów i ich rodziców oraz nauczycieli i wychowawców, którzy oddali mu swoje szczególne umiejętności, entuzjazm i serce. Dzięki sumiennej pracy i kreatywności udało się stworzyć ośrodek przyjazny, kolorowy i otwarty na nowe metody kształcenia i wychowania. Zawsze najważniejszy był i pozostał uczeń z niepełnosprawnością, jego rozwój i bezpieczeństwo - zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Dbano o to, by kadre pedagogiczną stanowili zawsze nauczyciele o wysokich kwalifikacjach, a uczniowie byli otoczeni właściwą opieką wychowawczą, psychologiczno-pedagogiczną i medyczną. Zróżnicowane i bardzo złożone, indywidualne potrzeby uczniów i wychowanków z wieloraką niepełnosprawnością wyznaczały kierunek kolejnych zmian. Piękny pałac, w którym mieści się ośrodek pracujący przez pięć dni w tygodniu, nie spełnia już oczekiwań tak społeczności szkolnej, jak i władz oświatowych. Organ prowadzący placówkę zmuszony jest szukać innego obiektu, by mogła ona nadal funkcjonować i się rozwijać. Dziecko z niepełnosprawnością w placówce specjalistycznej jest zarazem uczniem i pacjentem - szczególnie wymagającym. By żyć, funkcjonować i uczyć się na miarę swoich, często bardzo wysokich potrzeb i możliwości psychofizycznych, potrzebuje nowoczesnej przestrzeni szkoły, indywidualnego podejścia, pomocy dodatkowych osób - tzw. osobistych asystentów oraz dostosowania warunków lokalowych. Pozytywne zmiany w rozwoju i osiągnięcia edukacyjne uczniów z niepełnosprawnością są dużo lepsze i szybsze, jeśli spełnione zostaną wszystkie te kryteria.

Władysława Hanuszewicz
Słupsk

Radosna szkoła

Siedemdziesięciolecie działalności obchodziła Szkoła Podstawowa im. Leśników Polskich w Motarzynie. Senator RP Kazimierz Kleina odznaczył jubilatkę Medalem Senatu za jej wkład w dzieło rozwoju regionalnej kultury.

Jubileusz to rocznica wydarzenia, wyróżniająca się w jakiś sposób, dzięki czemu istnieje okazja do szczególnie uroczystych obchodów, a czasem także do refleksji nad minionym

bo w 1950 roku mogło powstać już siedem pełnych oddziałów, w których uczyło czterech nauczycieli. W marcu następnego roku pracę w szkole rozpoczął wieloletni jej dyrektor Łukasz

uczniów. We wrześniu 1973 roku uroczystie wręczono wszystkim uczniom tarcze. W 1974 Rada Pedagogiczna podjęła uchwałę, by chłopcy nosili krótkie włosy, a dziewczęta nie zakładały „drewniaków”. W 1976 roku dyrektorem szkoły została Anna Szwich-tenberg, w 1982 - Ewa Kuklińska, a pięć lat później - Ryszard Konopka. Z 1 września 1999 roku skrócono cykl kształcenia podstawowego do sześciu lat. W tym czasie szkołą kieruje Stanisław Prandota, a w 2003 roku jej dyrektorem zostaje Gabriel Konkel, który zakłada zespół taneczny „Jantar” i przyczynia się do powstania Izby Regionalnej.

W 2008 roku szkoła przyjęła imię Leśników Polskich i hymn, do którego tekst napisała niżej podpisana, a muzykę skomponowała do niego Agnieszka Musiał. W kwietniu 2010 roku Szkoła Podstawowa w Motarzynie otrzymała sztandar ufundowany przez Nadleśnictwa - w Bytowie, Leśnym Dworze i Łupawie. To tylko nieliczne kartki z kalendarza z minionych siedemdziesięciu szkolnych lat. Obecna Szkoła Podstawowa w Motarzynie zajmuje budynek do zajęć lekcyjnych połączony z nową salą gimnastyczną, którą uroczystie oddano do użytku w październiku 2012 roku. Zajmuje też budynek szkoły w Budowie, w którym mieszczą się oddziały przedszkolne. Prócz nauki, zajęć pozalekcyjnych, motarzyńska szkoła realizuje różne projekty, bierze udział w konkursach, przygotowuje liczne imprezy. Odbywają się w niej wieczorki literackie, wigilie sołeckie, kiermasze, spotkania okolicznościowe. Jest miejscem szeroko rozumianej aktywności edukacyjnej i kulturalnej.

Dlatego nikogo nie dziwiły tłumy gości podczas obchodów półwiecza placówki w 1995 roku, a także teraz, na jej siedemdziesiątych urodzinach. 23 października rozpoczęła je msza dziękczynna w miejscowym kościele, celebrowana przez księdza Mariusza Łackiego oraz księdza kanonika Tadeusza Rybińskiego. Po wprowadzeniu sztandaru do odświętnie wystrojonej sali gimnastycznej i odśpiewaniu hymnu państwowego, dyrektor szkoły Gabriel Konkel przywitał zebranych gości, a wśród nich m.in. Kazimierza Kleinę - senatora RP, Iwonę Warkocką - wójtka gminy Dębica Kaszubska, Tere-sę Lis - dyrektorkę słupekiej Delegatury Pomorskiego Kuratorium Oświaty



Fot. Archiwum Autora

okresem. Najczęściej jest to rocznica „okrągła”, przypadająca rzadziej niż raz w roku. Taki właśnie „okrągły” jubileusz odbył się w motarzyńskiej szkole podstawowej, która świętowała siedemdziesiąte urodziny.

Ale cofnijmy karty z kalendarza. Szkoła Podstawowa w Motarzynie istnieje od 17 września 1945 roku. Pierwszym jej nauczycielem i kierującym był Stefan Górzyński. Początkowo uczyło się w niej jedenaścioro dzieci. Ich liczba jednak szybko rosła,

Badach. Był to również rok rozpoczęcia działań drużyny harcerskiej i zespołu artystycznego.

W 1955 roku szkoła otrzymała na swoje potrzeby dodatkowy budynek, po byłej stolarni, a rok później wprowadzono w niej nauczanie religii i zawieszono krzyże w klasach. W 1961 liczyła już 164 uczniów, działały - Związek Harcerstwa Polskiego, Polski Czerwony Krzyż i Szkolna Kasa Oszczędności. W 1967 roku w ośmioklasowej szkole uczyło się 213

w Gdańsku, Eugeniusza Dańczaka - dyrektora Oddziału Terenowego Agencji Rynku Rolnego w Gdyni, Grzegorza Grabowskiego - członka Zarząd Powiatu Słupskiego i Eugeniusza Kryckiego - przewodniczącego Słupskiej Rady Powiatowej Pomorskiej Izby Rolniczej.

Po krótkim przypomnieniu historii szkoły i jej dokonań przez parę ubiegłorocznych absolwentów, lawiną posypały się słowa uznania, gratulacje i życzenia dla sędziwej, ale wciąż prężnie działającej jubilatki. Senator K. Kleina odznaczył szkołę Medalem Senatu za jej wkład w dzieło rozwoju regionalnej kultury. Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Dębnicy Kaszubskiej - Anna Pietrzak podarowała dzieciom dwumetrowego białego misia. Uroczym prezentem podzielił się absolwent Eugeniusz Dańczak - do niedawna wójt gminy Dębica Kaszubska, wręczając wszystkim (dawnym i obecnym) nauczycielom piękne albumowe wydanie „Lekcji smaków”, przygotowane przez Stowarzyszenia Kucharzy Polskich.

Nie zabrakło również urodzinowego tortu. Ku ogromnej radości wszystkich pojawiły się aż dwa - jeden z wizerunkiem motarzyńskiej siedemsetletniej lipy przywiozło Nadleśnictwo Leśny Dwór, drugi to dar Rady Sołeckiej z Motarzyna. Artystycznym poczęstunkiem dla wszystkich były wspańskie wykonane tańce kaszubskie przez zespół „Jantar”, recytowane wiersze, zaśpiewane piosenki przez Kornelię Kwiecień i przedstawienie „Leśny Czerwony Krzyż” przygotowane przez Lucynę Beger w wykonaniu teatru „Bingo”. Po tej części przyszła kolej na zwiedzanie szkoły, obejrzenie wystawek okolicznościowych, na wspomnienia i chwile wzruszeń ze spotkań po latach, na wpisy do złotej księgi oraz pamiątkowe zdjęcia. Te pełne ciepła i sympatii chwile na pewno na długo pozostaną w pamięci uczestników siedemdziesiątych urodzin motarzyńskiej jubilatki. Swoją ciężką pracą uczciwie zapracowała na dobre urodzinowe słowa, barwne refleksje, szczerze uśmiechy i... pozdrowienia błękitnego nieba złotej polskiej jesieni.

Aldona M. Peplińska
Motarzyno

Fot. J. Maziejuk



Nasze rocznice

W historii każdego narodu są wydarzenia szczególnie ważne. Każdego roku pamięć o nich obchodzimy jako rocznice. Swoje rocznice mają również społeczności lokalne.

Na przełomie października i listopada 1945 roku w Starkowie (gm. Ustka) dzieci osadników rozpoczęły naukę w polskiej szkole. W latach 1955 - 1960 ja też w niej się uczyłem. Była to szkoła początkowo czteroklasowa, a od 1958 roku - pięcioklasowa. Podstawówkę wszyscy kończyliśmy w odległej o trzy kilometry miejscowości Zaleskie. Tak więc w tym roku obchodzimy 70. rocznicę powstania polskiej szkoły w Starkowie.

Pierwszą naszą nauczycielką i kierowniczką szkoły była pani Maria Juszczyk. Był to doświadczony przedwojenny pedagog. Była osobą charakterystyczną, mającą również wpływ na środowisko Starkowa. Tamte metody nauki ze względu na klasy łączne oraz przypadki dzieci w różnym wieku w klasie z powodu wojny - nie przypominały dzisiejszego systemu nauczania przedmiotowo-godzinowego. Pani Maria radziła sobie jednak doskonale. Dziś z perspektywy czasu, też jako nauczyciel z wykształcenia, wysoko oceniam jej wymuszone życiem metody nauczania.

W ostatnich dniach wiele rozmawiałem z koleżankami i kolegami na temat historii naszej szkoły. Dotarłem do dwójki uczniów, którzy w 1945 roku rozpoczynali naukę w pierwszej klasie. Są to Irena Domańska mieszkająca obecnie w Słupsku i Lesław Rękas ze Starkowa. Klasa liczyła tylko trzech uczniów i nikt wówczas nie mówił o ekonomicznej potrzebie utrzymania szkoły - a kraj po wojnie był zrujnowany.

W czerwcu 1946 roku po pierwszym roku nauczania uczniowie z po-

wodu braku druków urzędowych otrzymali świadectwa wypisane na zwykłej kartce. Pierwsze świadectwa na oryginalnych drukach uczniowie w szkole w Starkowie odebrali za rok szkolny 1946/ 1947). Dwa wydarzenia z historii szkoły wszyscy wspominają szczególnie. Pierwsze to teatrzyk prowadzony przez nauczycieli. W przedstawieniach, szcicie kostiumów udział brała prawie cała wieś. Wystawiano również sztuki poważne, na przykład przygotowaną na podstawie powieści Elizy Orzeszkowej - „Dziurdziowie”. Z teatrzykiem pani Maria wyjeżdżała również do sąsiednich wsi.

Drugim ważnym wydarzeniem było przydzielenie do szkoły drugiego nauczyciela. Pierwszym, który wspomógł panią Marię był Teofil Bugno. Po roku, na dłużej zastąpiła go pani Maśłowska. Dzięki nim mogła powstać szkoła pięcioklasowa. Przybycie nowych młodych nauczycieli całkowicie zmieniło prowadzenie lekcji.

Z chwilą powstania parafii w Duninowie w szkole odbywała się nauka religii. W kolejnych latach, po przejściu pani Marii na emeryturę szkołę prowadziło jeszcze trzech nauczycieli. W przypadku Starkowa szkoła była bardzo zintegrowana z wsią. Na wywiadówkach, które były ważnym wydarzeniem, rozmawiano nie tylko o postępach uczniów, ale też o problemach wsi. W szkole koncentrowało się życie Starkowa. Podobnie było w innych wsiach. Dziś szkoły w Starkowie już nie ma.

Adam Jabłoński, Przewłoka

Są to mieszkańcy tak silnie wrośnięci w lokalną rzeczywistość, że nie wyobrażają sobie gdziekolwiek indziej swojego miejsca zamieszkania. Miejsce, które odziedziczyli po rodzicach nazywają swoją ojcowizną. Tutaj ma początek ich edukacja w miejscowej szkole i pojawiają się pierwsze obserwacje wiejskiej swojszczyzny. Niekiedy zdarzają się próby przedstawienia podziwianego piękna rodzimego krajobrazu - pomorskich pól, lasów, wzgórz i morza.

Ewa Grużewska jest przedstawicielką regionalnych malarzy amatorów ziemi słupskiej, ale jest również reprezentantką społeczności lokalnej wsi Starkowo w gminie Ustka. Ludzie, którzy przyjechali z różnych stron Polski nie tylko do tej wsi, ale również do wielu innych na tzw. Ziemiach Odzyskanych, tworzyli zręby polskości. W takim środowisku, wśród rodzącej się na nowo polskości od urodzenia zamieszkuje i pracuje E. Grużewska.

Urodziła się w 1963 roku. Naukę rozpoczęła w Szkole Podstawowej w Zaleskich, do której biegła wśród pól usianych kwieciami chabru i maku. Następnie dojeżdżała do Liceum Ogólnokształcącego nr 2 w Słupsku, gdzie wyróżniała się zdolnościami artystycznymi; uczęszczała do klasy o profilu plastycznym. Dziś o swoich zainteresowaniach plastycznych tak mówi: - Nie mogę określić, od kiedy rysuję i maluję, bo jak sięgam pamięcią, to właściwie od zawsze, od wczesnego dzieciństwa była to moja pasja. Moja rodzina posiada wrodzone zdolności manualne, mój tato bardzo dobrze rysował, ale niestety nie rozwijał swojego talentu, dlatego ja postanowiłam nie zaniedbać swego.

Po skończeniu nauki w liceum podjęła pierwszą pracę w księgowości, w której przepracowała pięć lat, by następnie być kierowniczką sklepu GS w Ustce. Na koncie swojej pracy zawodowej ma również stanowisko bizneswoman - w Starkowie otworzyła bowiem i przez pięć lat prowadziła własny sklepik spożywczy. Przez pewien czas prowadziła też gospodarstwo agroturystyczne. Mimo że praca zawodowa nie pozwalała jej na kontynuowanie zainteresowań artystycznych, to jednak nigdy nie przesłoniła zamiłowa-

Urzeka swoją twórczością

Tak niewielu jest artystów związanych ze swoim miejscem urodzenia. Ci artyści, którzy zamieszkują od urodzenia w tej samej miejscowości wpisują się w historię swojej małej ojczyzny.



Fot. W. Lipczyński

Fot. W. Lipczyński

nia do malarstwa i nie odcięła całkowicie od uprawiania artystycznej pasji. Na obecnym etapie życia jest w swoim „żywiolu”, bo zajmuje się wyłącznie swoją artystyczną pasją.

Pojechałem specjalnie do Starkowa, by się spotkać z malarką. Wiedziałem tylko, że jest amatorką - samoukiem. Mieszka w urokliwym zakątku na końcu wsi. Domo-stwo posadowione jest u podnóża wzgórza morenowego, przez które przepływa ciek wodny z pobliskich źródeł. W otoczeniu są jeszcze stawy, a na wysoczyźnie - starodrzew składający się z różnych gatunków drzew. W obojętności szczególne miejsce zajmuje stary, nieczynny „romantyczny” młyn wodny. Cała ta przestrzeń stanowi swoiste piękno, zasługujące na odrębny artykuł.

W pracowni malarki niemal wszędzie rozwieszone są obrazy, stoją sztalugi i gotowe farby do malowania. Oglądam leżące na półce rysunki, kilka niedużych olejnych obrazków, które mi pokazuje artystka jako wspomnienie swoich minionych lat. Następnie przyglądam się malowaniu obrazu dwóch panien, w przewiewnych, trochę iluzorycznych szatach w głębokich kolorach i w mglistej poświacie.

- Pierwszy etap zamierzenia to precyzyjny zamysł, który pojawia się w mojej głowie. Zaraz powstaje szkic, czasem kilka albo nawet kilkanaście szkiców - zdradza tajniki swego malarstwa pani Ewa. - Dopiero po wyborze najlepszego rozpoczynam malowanie, już na płótnie. Najczęściej wykorzystuje do



tego farby olejne, które dają najwięcej możliwości wyrażenia w malowaniu podjętego tematu.

Ewa Grużewska maluje również realistyczne pejzaże, usytuowane na pograniczu fotograficznej dokładności i osobistej wrażliwości, operując zdecydowanymi barwami. Zainteresowały mnie obrazy marynistyczne,



które mają nie tylko głębokie horyzonty, otchłan toni wodnej, ale i koloryt zależny od zachowania morza. Obraz w żółciach i w czerwieni przedstawia krajobraz zachodzącego słońca w spokoju i wyciszeniu morza.

Inny obraz przedstawia widok ciemnej otchłani, wzburzone, pełne grozy i niepokoju morze, w barwie granatu i niebieskiego koloru, oraz w kolorach uzyskanych pośrednio od tych dwóch dominujących. Ulubionym tematem artystki są jednak różne modele ludzkie. Motywy i tematy do swoich obrazów czerpie z najbliższego otoczenia, oraz z różnego rodzaju przemyśleń. Zawsze inspiruje ją człowiek i jego życie.

Mieszkanka Starkowa, oprócz malarstwa olejnego, tworzy również miniatury zwierząt na medalionach. Mam okazję podziwiać też jej inne dzieła plastyczne: rzeźby ceramiczne przedstawiające abstrakcje, witraże i rękodzieła dekoracyjne. Prace te wykonuje jako przerywniki w malowaniu obrazów. Jak mówi - w celu odezwania się na chwilę od zasadniczej pracy. - Staram się też próbować jeszcze innych prac - dodaje zaraz. - Teraz uczęszczam na zajęcia z rzeźby w glinie. Próbowalam też różnego rodzaju rękodzieła, ale jednak najważniejsze jest dla mnie malarstwo.

Ze znanych malarzy bardzo ceni i podziwia czołowego postimpresjonistę i symbolistę Paula Gauguina - za obrazy o czystych, zdecydowanych kolorach i oryginalność kompozycji. Malarka wymienia jego dzieła, które wywarły na niej szczególne wrażenie. Jest to przede wszystkim obraz „Anna z Jamajki” - doskonały akt i drugi - „Tahitańskie kobiety” - na plaży.

Gdy chodzi o stosowanie w obrazach światła i cieni to tutaj malarka podpatruje głównie Rembrandta i podziwia go przede wszystkim za „Żydowską narzeczoną”. Uważa, że jest to przykład wspaniałej harmonii barw czerwieni, złota i ciepłych brązów, które wyrażają głębokie i pełne uczucia wejrzenie młodej pary w jej wzajemną miłość. Drugi obraz Rembrandta, wzbudzający zachwyt malarki, to „Kobieta kąpiąca się w rzece”. Z malarzy, z których czerpie wiedzę wymienia też Van Gogha (za wszechobecność w malowaniu natury), a także polskiego symbolistę Jacka Malczewskiego, który tworzył obrazy pełne różnych znaczeń.

Obecne życie artystki wypełnione jest niemal w całości pracą malarską. Od dziesięciu lat maluje głównie na zamówienie - tworzy obrazy komercyjne. Sprzedaje je w dużej ilości. Są to przede wszystkim różne kopie i wykonywane portrety.

Obrazy Ewy Grużewskiej zdobią wnętrza szkół, firm i instytucji, ale w większości są w posiadaniu prywatnych właścicieli. Ich odbiorcami są indywidualne osoby, które najczęściej gustują w kwiatach i koniach.

Trzy lata temu Ewa Grużewska zdobyła nagrodę starosty słupskiego w konkursie „Niekontrolowany obszar wrażliwości”, za obraz „Lęk i obawa”. Malarka bierze udział w wielu plenerach, w tym także organizowanych przez gminę Ustka. Brała udział w zbiorowych wystawach słupskiego i uestckiego klubu plastyka. Nie wie czy wystarczy jej czasu, ale chciałaby rozwijać też bardziej swoje zainteresowania rzeźbą i ceramiką, by przygotować specjalną wystawę takich prac.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



„Bracia patrzcie jeno...”

Nie ma drugiego takiego kraju na świecie, gdzie by Wigilię Bożego Narodzenia obchodzono tak uroczyście jak u nas. Nigdzie też z dniem tym, a zwłaszcza z wigilijną nocą, nie wiązano tylu wierzeń i prorocत्व.

Czekamy na nie z utęsknieniem lub niepokojem. Jakie będą tym razem te najpiękniejsze ze świąt? Radosne, pełne niezwykłych przeżyć, czy też smutne i nudne, choć spędzane w gronie bliskich, a czasem tak dalekich sobie ludzi? Takie pytanie powinien sobie zadać każdy z nas. Czy są dla nas ważne i wyjątkowe - czy też tylko koniecznością sprostania tradycji - choinka, prezenty, kolacja wigilijna... i tyle. No cóż, nie mogą oprzeć się smutnej refleksji, że coraz czę-

W dzisiejszych wigiliach nie spotykamy oczywiście tylu co w przeszłości obrzędów dotyczących zapewnienia urodzaju, pomyślności i dostatku, a te, które się zachowały traktujemy przede wszystkim jako pamiątkę po przodkach. Sianko pod obrusem - na pamiątkę stajenki, w której urodził się Jezus. Wypatrywanie pierwszej gwiazdy - na pamiątkę tej, która przed wiekami w noc narodzin Chrystusa pojawiła się nad Betlejem. No i najważniejsze: łamanie się opłatkiem...

wyjątkowość, której wierzący i niewierzący - jestem pewna, że oczekują. Oczekują też smacznych, tradycyjnych potraw przygotowywanych przez babcie i mamy. Potraw wigilijnych może być siedem, dziewięć lub dwanaście. W moich rodzinnych stronach, a też i w moim domu najważniejsze były: smażony karp, barszcz z uszkami, pierogi z kapustą i grzybami, i obowiązkowo kutia.

Pochodzę ze Stanisławowa, więc z kutią związana była cała celebra, do której włączano również dzieci. Do niedawna jeszcze rozcierałam mak w makutrze póki nie zmienił się w mleczną masę. Potem dodatki: usmażona w cukrze skórka pomarańczy, rodzynki, orzechy, migdały i miód. Najważniejsza była ugotowana pszenica, którą łączyłam z utartą masą. Wspinały tradycyjny deser! Kutia królowała nie tylko na kresowych stołach, podawano ją również na Kurpiach i jadło się aż do Nowego Roku.

A potem kolędy - pierwszy zaczynał ojciec, wielkim głosem „Bracia patrzcie jeno...” Śpiewaliśmy wszyscy i to jest najpiękniejsze moje wspomnienie z wigilii w rodzinnym domu.

A dziś? Przepiękne polskie kolędy śpiewa Mazowsze albo znani piosenkarze. Nikt też nie zastanawia się - kto był twórcą tylu najczęściej śpiewanych kolęd - na przykład „W żłobie leży” autorstwa Piotra Skargi, „Bóg się rodzi” pióra Franciszka Karpińskiego i najbardziej nastrojowej kołysanki „Lulajże Jezuniu”, której motywy wpłótł Fryderyk Chopin w jedno ze swoich najpiękniejszych dzieł „Scherz h-moll”.

Nie chciałabym zakończyć tej świątecznej refleksji konkluzją, że w polskich domach nie śpiewa się kolęd. Najczęściej jednak, po jednej zwrotce lub wtórując tym w telewizji. Mimo to - Święta Bożego Narodzenia są zawsze takie same: uroczyste, wzruszające, pełnej ludzkiej życzliwości, wspomnień i nadziei, słowem - najpiękniejsze na świecie.

Bogumiła Skomoroko, Słupsk



ściej urządzamy święta nie tyle z wewnętrznej potrzeby, co z przyzwyczajenia albo ze względu na dzieci.

Rezygnujemy z wielu obrzędów, upraszczamy świąteczny ceremonial. Nic więc dziwnego, że z każdym rokiem coraz bardziej ubożają nam najpiękniejsze w polskiej tradycji święta. A przecież nie ma drugiego takiego kraju na świecie, gdzie by Wigilię Bożego Narodzenia obchodzono tak uroczyście jak u nas. Nigdzie też z dniem tym, a zwłaszcza z wigilijną nocą, nie wiązano tylu wierzeń i prorocत्व, nigdzie też nie ma pewnie takiego bogactwa świątecznych tradycji.

W moim rodzinnym domu - od kiedy pamiętam - chwila, kiedy ojciec podawał opłatek każdemu z nas, była szczególna. Zapalona wigilijna świeca, łamiący się ze wzruszenia głos taty i my - babcia, dziadek, rodzice, siostry, bracia, i wzajemne życzenia zdrowia, pomyślności...

Uroczysty nastrój, poczucie bliskości i tego, że jesteśmy razem.

Takie przeżycia są wartością, którą warto pielęgnować i utrzymywać na przekór modom, nonszalancji i niechęci młodych do uzewnętrzniania swoich uczuć.

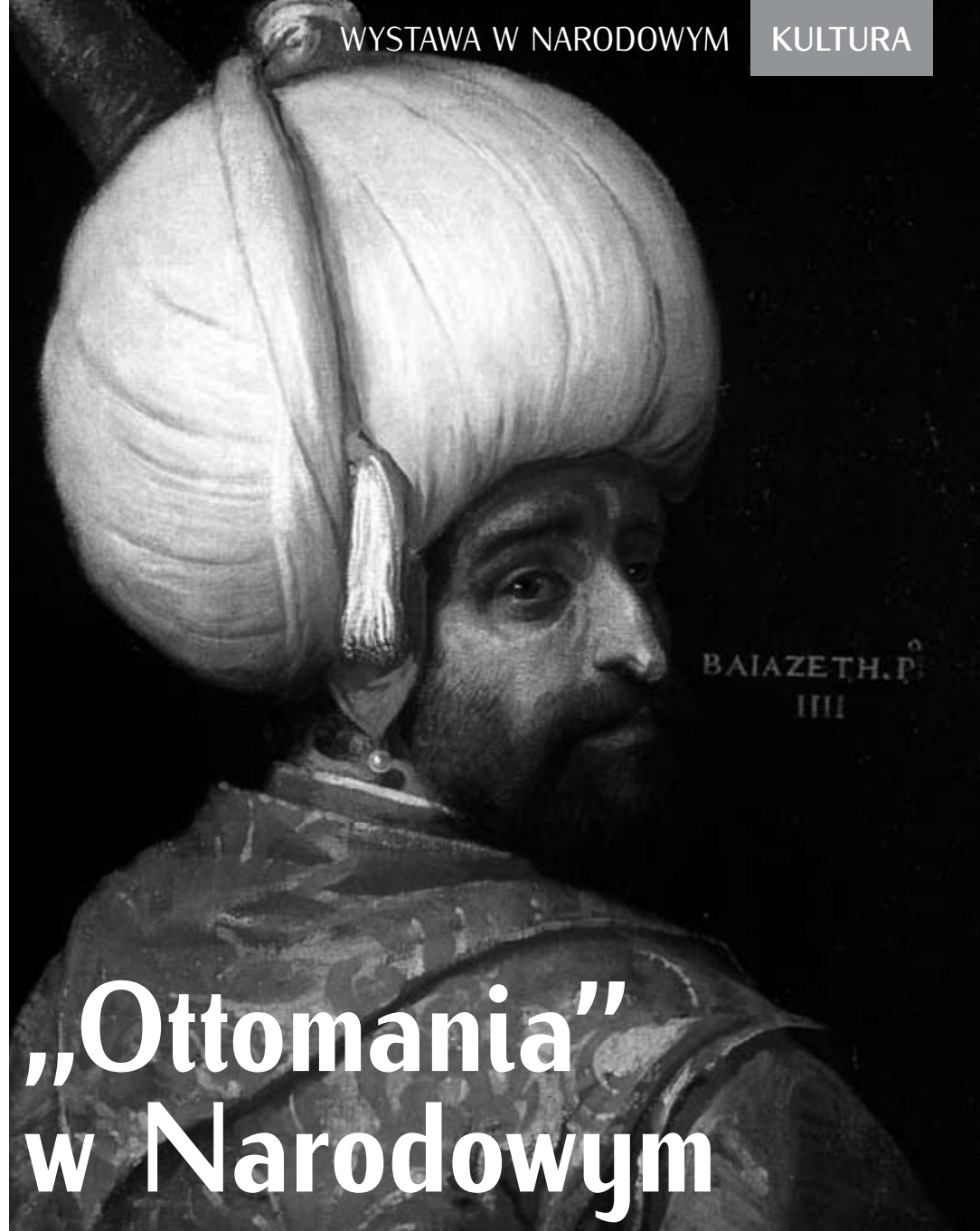
A przecież stół wigilijny, światła choinki i kolędy nadają tej wieczery

Wydarzenie szczególne, bo jest częścią dużego międzynarodowego projektu „Ottomans & Europeans: Reflecting on five centuries of cultural relations” („Turcy i Europejczycy: Refleksje na temat pięciu wieków stosunków kulturalnych”). Muzeum Narodowe w Krakowie podjęło po raz kolejny międzynarodową współpracę z muzeami, aby zgromadzić malarstwo europejskie - obrazy najwyżej cenionych mistrzów, a także dodatkowo bezcenne przedmioty rzemiosła artystycznego, mapy, dokumenty, broń. Wypożyczono w sumie 150 obiektów z kilku wielkich kolekcji, m.in. z wiedeńskiego Kunsthistorisches Museum i Gallerii Albertina, British Museum oraz National Gallery w Londynie, Gallerii Uffizi we Florencji, Starej Pinakoteki w Monachium, czy Palacio Real w Madrycie. W sumie 60 różnych instytucji kultury na świecie przekazało swoje eksponaty do Krakowa, w tym ważne instytucje kultury europejskiej i tureckiej, m. in. Istanbul Foundation for Culture and Arts (Istambul), czy Witte de With Center for Contemporary Art (Rotterdam).

„Ottomania” to słowo - klucz do zrozumienia fenomenu relacji między Europą a Turcją w XVI wieku. Dodanie do staropolskiej nazwy „Imperium Otomańskie” greckiego słowa mania, mającego dziś zarówno pozytywne, jak i negatywne znaczenie, oddaje złożoność uczuć, jakie towarzyszyły konfrontacji Europejczyków z obcą, orientalną cywilizacją” - napisano w katalogu wystawy.

Mam za sobą już długą wyprawę na obszar Turcji i to nie tylko do części europejskiej, ale również do położonej centralnie stolicy Ankary, gdzie zwiedzałem muzea i skarbiec sultana z efektowną biżuterią i precjozami. Dlatego z wielką ciekawością podziwiałem wystawę, zaczynając jej zwiedzanie od części geograficzno - historycznej, pokazanej na mapach i obrazach batalistycznych, a kończąc na bardzo osobistych pamiątkach z dworu sultana. Wśród obrazów inspirowanych orientem są prace takich artystów, jak: Gentile Bellini, Albrecht Durer, Hans Memling, Tiziano Vecelli, Jacopo Tintoretto, Paolo Veronese, Vittore Carpaccio, Hans von Aachen. Wyeksponowany jest „Portret sultanki Roksolany” namalowany przez Tyjana w latach 1545 - 1555.

Możliwość zobaczenia wystawy na pewno ucieszyła fanów seria-



Po brukselskim pokazie w Palais des Beaux-Arts zagościła w Teatrze Narodowym w Krakowie wyjątkowa wystawa ze zbiorów europejskich i tureckich.

lu „Wspaniałe stulecie” nadawanego przez polską telewizję. Pokazano na niej bogactwo kultury imperium otomańskiego i jej przenikanie do kultury europejskiej. Przedstawiono relacje, jakie ówczesnie istniały między Europą a Turcją w zakresie sztuki, obyczajowości, ubioru. Są też akcenty polskie, można podziwiać zbroję Stefana Batorego ze zbiorów cesarskich w zamku Ambras w Innsbrucku oraz XVI-wieczną kapę z tureckiej tkaniny z kościoła Bożego Ciała w Krakowie.

Wystawa obejmuje początek XIV wieku, kiedy na Półwyspie Anatolijskim narodziło się nowe państwo, nazywane od rządzącej nim dynastii - Im-

perium Osmańskim. Sultan Mehmeda II w 1453 roku zajął Konstantynopol - wydarzenie to nie tylko przyniosło kres istnienia Cesarstwa Bizantyjskiego, ale również wyznaczyło początek nowej ery w dziejach świata. Graniczne lata wystawy są związane z kończącym się długoletnim okresem wojen i pokojem zawartym przez Habsburgów z Osmanami w 1606 roku w Zsitvatoroku, oraz wybuchem w roku 1620 wojny polsko-tureckiej.

Zorganizowanie wystawy „Ottomania” w Muzeum Narodowym w Krakowie jest najważniejszym wydarzeniem w 2015 roku w muzealnictwie polskim.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Czytać każdy może

W tym roku honorowym gościem Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie była Litwa. Niewątpliwym bestsellerem z tego kraju może stać się książka Vandy Juknaitė pt. „Słowa w ciemności”.

Tylu miłośników literatury na Międzynarodowych Targach Książki musi budzić podziw. Jesteśmy spragnieni nowości i co ważne cieka-

patriota. Wspomagał Wiosnę Ludów i został potem rabinem Warszawy. Jak kochał gród pod Wawelem, miał, rabin Krakowa chwilowo w War-

stało z tego blisko 200 listów. Tak jak przed rokiem poprosiłem o. Leona o dedykację. Tym razem była to książka pt. „Weź się w garść, bądź święty”. Tytuł warty przeczytania niezależnie od przekonań.

Targi nie mogły się obejść bez tematyki sportowej. Ci, którzy kochają siatkówkę, a w Słupsku takich nie brakuje doskonale pamiętają postać Andrzeja Niemczyka. W jednym z krakowskich wydawnictw ukazała się jego książka pt. „Andrzej Niemczyk życiowy tie break”. Z siatkarską reprezen-



wi zobaczyć na żywo znanych pisarzy, artystów, podróżników, a nawet sportowców. Ponad 700 wystawców, dziesiątki tysięcy tytułów na wszelakie tematy.

Jednymi z najbardziej przywiązanych do Krakowa autorów są Leszek Mazan i Mieczysław Czuma. W swych książkach odkrywają świat, którego już nie ma. Ich najnowszy tytuł, to „Tate, jedziemy do Krakowa”. Zabierają oni czytelników w niezwykłą podróż przypominając przez stulecia miejsca niezwykle. Należy do nich krakowski Kazimierz, który przed laty był jednym z największych skupisk Żydów w Europie. Gdy wyganiano ich z innych krajów osiadali w Krakowie. Tutaj działał słynny rabin Izaak Meisels, wybitny krakowski przemysłowiec i

szawie. Ciekawostką jest jedyne takie miejsce w Polsce, gdzie ulica Bożego Ciała przecina się z ulicą Meiselsa.

Nie byłoby targów bez ojca Leona Knabita, najbardziej rozpoznawalnego krakowskiego zakonnika, benedyktyna z Tyńca. Ojciec Leon, wieloletni przyjaciel świętego już dzisiaj Jana Pawła II mimo swych 86 lat ciągle pisze książki i cotygodniowe felietony do „Dziennika Polskiego”. Odbywa przy tym liczne spotkania w całym kraju. Tryska niezwykłym humorem i sypie kawałami jak z rękawa...

Dodać też warto, że w 1979 roku prowadził spotkania powitalne podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II na Krakowskich Błoniach. Prawie do końca życia Papieża trwała między nimi korespondencja. Dzisiaj pozo-

tacją kobiet zdobył złoto na Mistrzostwach Europy, trzykrotnie żonaty, ma cztery córki, w tym Małgorzatę - mistrzynię Europy z 2003 roku. Przez kilka lat walczył ze złośliwym nowotworem węzłów chłonnych i pokonał chorobę. Książka nie tylko dla sympatyków sportu. Polecam!

W tym roku honorowym gościem Międzynarodowych Targów Książki była Litwa. Niewątpliwym bestsellerem z tego kraju może stać się książka Vandy Juknaitė pt. „Słowa w ciemności”. To zbiór 16 refleksyjnych wywiadów przeprowadzonych z dziećmi, które w swoim życiu doświadczyły wielu cierpień. Rozmówcy Juknaitė - m.in. dziewięcioletni chłopiec z rozbitej rodziny, trzynastoletni Janek z rodziny wielodzietnej, jedynaczka El-

za, której rodzice przez ponad rok byli w śpiączce po wypadku samochodowym, niewidoma od urodzenia Loreta obdarzona jednocześnie słuchem absolutnym, młodociani przestępcy odsiadujący pierwsze wyroki, upośledzony umysłowo chłopiec - radzą, skąd czerpać siły w ciężkich doświadczeniach, opowiadają o cierpieniu, ubóstwie, odrzuceniu i okrucieństwie. Książka ma wymowę uniwersalną, dotyka problemów w każdym kręgu kulturowym, porusza autentycznością. Tę książkę powinien przeczytać każdy.

Nie mogli też narzekać miłośnicy gór. Naprzeciw wyszedł nim Tatrzański Park Narodowy. „Opowieści z serca Tatr” to pierwszy album poświęcony polskim górcom prezentujący je kompleksowo i z wielu perspektyw. Inny ciekawy tytuł to „Żywot Górala Poczciwego”. Spojrzenie po latach Wojciecha Brzyzgi stanowi wyjątkowy zbiór wspomnień artysty, bogato ilustrowany.

Cieszy fakt, że w Krakowie znalazły się też akcenty z naszego regionu. Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie prezentowało książki i albumy wydawane w ostatnich latach. Wspomagał je w tym prof. dr Józef Borzyszkowski, znany historyk, regionalista, popularyzator i piewca Kaszub.

Niewątpliwie ważną postacią targów okazał się ks. dr Jan Kaczkowski. Chory na raka mózgu jest niezwykle aktywny. Wybudował i prowadzi hospicjum św. Ojca Pio w Pucku. Nie daje za wygraną. Nieustannie zabiega, aby jego placówka funkcjonowała jak najlepiej i chorzy terminalnie mogli odejść w godnych warunkach. W Krakowie promował swój najnowszy tytuł pt. „Życie na pełnej petardzie”.

Książki dzisiaj do tanich nie należą. Niestety w wielu domach nie ma nawyku czytania. Nie czytają dzieci, nie czytają też dorośli. Rodzice są zadowoleni, że ich milusińscy siedzą przy komputerze, mają smartfony, czy tablety. Nie jest tajemnicą, że ich słownictwo w ten sposób już na starcie staje się znacznie uboższe. Czy i jak można to zmienić? Czas najwyższy wpajać dzieciom miłość do książek prawie od kolebki.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk



Stowarzyszenie Kulturalno-Społeczne „Budźmy Kulturę” z Dębicy Kaszubskiej zorganizowało w Ośrodku Teatralnym Rondo w Słupsku I Konfrontacje Artystyczne Osób Niepełnosprawnych Powiatu Słupskiego – adresowane do indywidualnych twórców i artystów.

Fot. J. Maziejuk

Dla zespołów i grup artystycznych organizowane są oddzielenie konfrontacje-wsalisłupskiejFilharmonii. Do występów w Rondzie zgłosiły się jednak zespoły i indywidualni twórcy oraz artyści. Organizatorzy umożliwili występ wszystkim. Dobrze zrobili, bo prezentacji artystycznych nigdy za wiele i nie od dziś wiadomo, że występ na scenie w grupie czy indywidualnie wzbogaca, daje możliwość konfrontacji z odbiorcą, przyczynia się do podniesienia poczucia własnej wartości.

Nie obejrzałem wszystkich występów, te, które miałem okazję zobaczyć i zwróciły moją uwagę, były naprawdę na wysokim poziomie. Widać było, że instruktorzy zatrudnieni w domach pomocy społecznej wiedzą jak przygotować podopiecznych, by ich występ przyniósł radość nie tylko im, a także zachwycił publiczność. By wzruszał i był na przyzwoitym poziomie. Od instruktorów z Domu Pomocy Społecznej w Przytoku, Lubuczewie, Machowinie, Machowinku mogą uczyć się inni! Któryś już raz udowodnili, że z osobami niepełnosprawnymi można przygotować ambitne prezentacje, że drzemią w nich niezwykle zdolności, po które należy tylko sięgnąć odpowiednią pracą i... pomysłem.

Można mieć prawdziwy teatr, zaprezentować ciekawie smutnego poetę, przygotować ciekawe układy taneczne. Można zastanawiać się, jak to możliwe, że Dom Pomocy Społecznej w Machowinie ma piosenkarza, który potrafi wystąpić na każdej scenie i

przed każdą publicznością. A ma takiego! Można zachodzić w głowę, jak udało się terapeutce z Domu Pomocy Społecznej w Przytoku przygotować z podopiecznych prawdziwych estradowców? A udało się! Itd.

Wiele, bardzo wiele można osiągnąć artystycznie, tylko trzeba wiedzieć jak się to robi, jak się za to zabrać. Pokazały to także zorganizowane w czerwcu br. w Uście przez Centrum Rehabilitacji im. ks. Biskupa Jana Chrapka z Grudziądzu w ramach „Teatru życia” - Ogólnopolskie Konfrontacje Artystyczne Niepełnosprawnych, w które angażuje się wiele znakomitości świata kultury w Polsce. Za sprawą ich wiedzy, warsztatu, umiejętności, występujący na konfrontacjach pod ich opieką niepełnosprawni, pokazują jakimi są wspaniałymi artystami. Występowali w ośrodku, w których odbywały się warsztaty, a później na uesteckiej promenadzie przed szeroką publicznością. Prezentowali się ze szczególną radością i wrażliwością.

Z pewnością podczas tych występów nie czuli się gorszymi i gdyby nie nazwa konfrontacji, mało kto, by się zorientował, że to osoby niepełnosprawne. Taka właśnie potrafi być sztuka i właściwie rozumiana kultura. Potrafi wiele uczynić w życiu występującego na scenie artysty. Dlatego ważne są wszelkie przeglądy, konfrontacje, powinno występować na nich jak najwięcej uzdolnionych artystycznie osób. Tych w powiecie słupskim nie brakuje.

Adam Wolski, Słupsk



„Kraina uśmiechu” pełna... śmiechu

Wielką radość sprawił melomanom starosta słupski zapraszając do Redzikowa na koncert pt. „W Krainie uśmiechu”, w którym wystąpiły gwiazdy Polskiej Opery Kameralnej w Łodzi.

Z propozycją zorganizowania koncertu wystąpił sam Kazimierz Kowalski - dyrektor naczelny i artystyczny Polskiej Agencji Koncertowej w Łodzi, wielki bas polskiej sceny operowej, związany z Teatrem Wielkim w Łodzi, wieloletni jego dyrektor naczelny i artystyczny. Publiczności polskiej znany jest także dzięki telewizji, gdzie występował m.in. w programach „Dobry wieczór, tu Łódź” lub „Kazimierz Kowalski zaprasza” (TVP1). Od 2000 roku w I Programie Polskiego Radia prowadzi audycje, w których przedstawia sylwetki wybitnych polskich artystów, często już dzisiaj zapomnianych. To on m.in. wymyślił i prowadzi od 1997 roku sierpniowy Festiwal Operowo - Operetkowy w Ciechocinku. Jest również jednym z twórców Polskiej Opery Kameralnej. Przede wszystkim sam wspaniale śpiewa i interpretuje dzieła największych twórców operowych, czemu dał wyraz także w podczas koncertu w Redzikowie.

Gdy starosta Zdzisław Kołodziej-ski przeczytał list od samego Mistrza proponującego zorganizowanie koncertu w powiecie słupskim - w ramach

realizowanego przez Polską Agencję Koncertową programu z firmą Lotos Paliwa, nie zastanawiał się, tylko od razu zdecydował, że taki koncert się odbędzie! Najlepiej w Redzikowie, bo to blisko Słupska, a taki był warunek sponsora, czyli Stacji Paliw Lotos. Starosta osobiście zaangażował się w organizację koncertu, przekonał do niego Barbarę Dykier - wójt gminy Słupsk, która użyczyła miejsca na występ w Zespole Szkół i zobowiązała się godnie podjąć w swojej gminie artystów.

Koncert okazał się strzałem w dziesiątkę, bo do sali gimnastycznej w Zespole Szkół przyszło w poniedziałek, 9 listopada br. na godzinę 18-tą ponad 400 osób! Tak liczne grono miłośników muzyki operowej miało okazję zobaczyć z bliska niezwykle uroczne solistki Polskiej Opery Kameralnej w Łodzi - Małgorzatę Kulińską i Emilię Zielińską oraz wielkiej klasy solistów - Andrzeja Niemierowicza i Kazimierza Kowalskiego (występującego też w roli prowadzącego koncert). Wykonali oni m.in. takie znane przeboje operowe, operetkowe i musicalowe, jak: „Straszny dwór”,

„Cyruлик sewilski”, „Carmen”, „Baron Cygański”, „Skrzypek na dachu” czy „Księżniczka Czardasza”. Na pianinie akompaniowała Ewa Szpakowska, związana także z Teatrem Wielkim w Łodzi, współpracująca z wybitnymi dyrygentami i śpiewakami z Polski oraz z zagranicy. Dziś również prowadzi ożywioną działalność artystyczną występując w wielu koncertach w kraju i za granicą. Dokonuje nagrań radiowych i telewizyjnych. Żał było, że akompaniowała tylko na pianinie, a nie na fortepianie, ale solistom nie przeszkodziło to, by wielokrotnie porwać publiczność do wspólnego śpiewania.

Wystarczy dodać, że koncert zakończył się prawdziwą owacją na stojąco! Artyści ze sceny podziękowali staroście za umożliwienie im tego występu, dedykując niektóre utwory. Przypomniało to dawne koncerty organizowane z wielkim znanstwem i taktem oraz oddające należyte szacunek i ukłon w stronę tych, którzy mają wielkie serce do muzyki. Taka artystyczna kindersztuba nie zawsze jest już dziś stosowana.

Adam Wolski, Słupsk

Widownia była oczarowana

Lubię takie niespodzianki, chociaż nikomu źle nie życzę. Zadzwoiła Teresa, że J. zachorował, ma dwa bilety na koncert i miejsce w samochodzie. – Pewnie, że chcę – powiedziałam natychmiast. O dziewiętnastej w piątek byliśmy w Teatrze Nowym w Słupsku, gdzie koncertowali muzycy Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica.

Sala, przypominająca raczej widowie w domu kultury, z ciasnymi niewygodnymi fotelikami, wypełniła się do ostatniego miejsca; wśród słuchaczy kilkoro znajomych, co nie dziwi w metropolii rozmiaru miasta powiatowego.

Przed koncertem odbyła się mała uroczystość jubileuszowa: gospodarz wieczoru Andrzej Zborowski otrzymał list gratulacyjny od prezydenta miasta z okazji osiemdziesiątych urodzin. Były kwiaty i wspólne sto lat.

Mimo wieku Andrzej Zborowski wciąż jest aktywnym, pełnym wigoru i humoru scenicznym erudyta. Śpiewaczka emerytura nie przecięła jego więzi ze sceną. Prowadzi koncerty, komentuje repertuar, wprowadza w świat muzyki, łącząc muzyczny komentarz z ciekawostkami i anegdotami o genezie utworów i kompozytorach.

Koncert rozpoczął się od Furianta C-dur, Tańca słowiańskiego nr 1 Antoniego Dworzaka. Tańców Dworzak skomponował szesnaście. W zamierzeniu autora były to domowe utwory fortepianowe na cztery ręce, szybko jednak zostały rozpisane na orkiestrę i na stałe weszły do sal koncertowych. Powstawały w II połowie wieku XIX, kiedy elementy ludowe i narodowe zawładnęły utworami sztuki wysokiej: muzyki i literatury. Elementy narodowe w muzyce czeskich kompozytorów, to - „akcent muzyczny na pierwszej mierze taktu (co współgra z inicjalnym akcentem języka czeskiego), tanecznymi synkopacjami, unikaniem kontrapunktu, oscylowaniem pomiędzy dur i moll, wyrazowym liryzmem i użyciem typowych skal muzycznych”.

Muzycy Sinfonia Baltica po dyrekcją Bohdana Jaromłowicza porwali publiczność dynamicznym crescendo. Taniec nr 1 C-dur oddaje charakter furianta, szybkiego tańca czeskiego z silnymi akcentami muzycznymi.

Zaraz potem Andrzej Zborowski wprowadził słuchaczy w historię II Rapsodii węgierskiej Franciszka

Liszta. Przypomnił o serdecznej artystycznej przyjaźni z Szopenem, jego zachwycie oryginalnością i kunsztem muzyki polskiego kompozytora. Liszt przeżył Szopena o trzydzieści siedem lat i był jego pierwszym biografem.

Ostateczna wersja dziewiętnastu Rapsodii węgierskich powstała w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Pozostajemy więc w tym samym czasie historycznym, romantyzmie, i jego nurtach narodowych w muzyce. Rapsodie Liszta z istoty gatunku są utworami instrumentalnymi zbudowanymi z kilku części, z kontrastującymi ze sobą tematami. W II Rapsodii tematy ludowe są łatwo rozpoznawalne, a w słupskiej filharmonii przepięknie wybrzmiały motywy melancholijne z żywszymi partiami, jak i dynamiczne w drugiej części, aż do końcowego crescendo.

Pierwszą część piątkowego koncertu zamykał Trójgraniasty kapeluszu Manuela de Falli. Utwór powstał jako balet komiczny, głównie z inicjatywy Siergieja Pawłowicza Diagiłowa, wciąż poszukującego nowości, to on zmienił charakter baletu początku XX wieku. Scenografię do prapremiery baletu w Londynie w 1919 roku przygotował Pablo Picasso. To musiało być przedstawienie!

Trójgraniasty kapeluszu w wersji li tylko orkiestrowej podobał się słupskiej widowni.

Po przerwie usłyszeliśmy Kaprys włoski Piotra Czajkowskiego. Andrzej Zborowski przypomniał genezę utworu. Opowiedział o podróży rosyjskiego kompozytora do Włoch w 1880 roku, do Rzymu, w czas karnawału.

Najpierw fanfara dętych instrumentów blaszanych, zaraz potem, według mnie, melancholijny motyw oddający to, co rozumiemy jako „rosyjską duszę”. Słyszałam w tym fragmencie echa podróży autora. Dopiero później motywy włoskiego karnawału, lekkie, szybkie, jak obrazy karnawałowej ulicy z niemilkącymi między partiami kaprysu fanfarami. Zabrzmiało pięknie.

Na zakończenie Bolero Josepha Maurica Ravela. Utwór powstał na zamówienie Idy Rubinstein jako muzyka do baletu. Premiera odbyła się w Paryżu w 1928 roku. Scena przedstawiała gospodę, gdzie pośród biesiadujących przy stołach wieśniaków



młoda Hiszpanka tańczy na stojącym pośrodku stole. Najpierw tylko do melodii fletu, po chwili motyw podejmuje klarnet, wreszcie kolejne instrumenty. Na koniec brzmią wszystkie, jak w transie. Widownia oczarowana! Nie zawsze tak było. Pierwsze koncertowe wykonania były kłapą. Zarzucono utworowi monotonię.

Tak, to tylko osiemnaście taktów, dwa takty powtarzającego się rytmu, a wszystko genialnie zinstrumentowane. Na tym zasadza się oryginalność Bolera. Jak zaczarowana obserwowałam muzyków, to jak wykorzystywali instrumenty było niesamowite. A smyk, którym skrzypek uderzał z rozmachem struny!, miałam wrażenie, że się rozleci. Fantastyczne wrażenia.

Panu. J. życzę zdrowia i dziękuję za wolny bilet. Lubię takie niespodzianki.

Czesława Długoszek, Objazda

Ukrywanie części opłat

W jaki sposób banki i instytucje finansowe starają się ukryć koszt kredytu? Na co zwrócić szczególną uwagę w zapisach umowy.

Powszechną praktyką wśród niektórych firm jest ukrywanie części opłat (za obsługę klienta w domu lub dodatkowe ubezpieczenie, bez którego nie można dostać kredytu), przez co całkowity koszt jest - na przykład w reklamie - wyraźnie niższy. Według prawa całkowitym kosztem powinna być suma wszystkich kosztów, które klient musi opłacić w związku z umową o kredyt konsumencki.

Chodzi w szczególności o odsetki, opłaty, prowizje, podatki i marże oraz koszty usług dodatkowych w przypadku, gdy ich poniesienie jest niezbędne do uzyskania kredytu (np. koszty składek ubezpieczeniowych). W ocenie kosztów kredytu bardzo pomocna jest „rzeczywista roczna stopa oprocentowania”, czyli w skrócie RRSO.

To wskaźnik, który ma pomóc pożyczkobiorcy wybrać najtańszą ofertę i ułatwić porównywanie różnych kredytów. Nie zawsze jednak pożyczkodawcy uczciwie podchodzą do kwestii wyliczania RRSO - czasami starają się zafałszować wynik i ukrywają opłaty za niektóre usługi, bez których nie ma szans na kredyt.

Wskaźnik ten - jeżeli jest poprawnie wyliczony - doskonale sprawdzi się, gdy chcemy porównać dwie pożyczki na taki sam okres. Ta z niższym RRSO będzie dla nas tańsza. Z kolei im większa rozbieżność pomiędzy RRSO, a oprocentowaniem nominalnym, tym więcej dodatkowych kosztów jest ukrytych w kredycie.

Pożyczkodawca - zgodnie z obowiązującym prawem - zobowiązany jest umieścić wartość RRSO w każdej reklamie kredytu lub pożyczki. W reklamach telewizyjnych najczęściej rzeczywistą roczną stopę oprocentowania można znaleźć drobnym drukiem na dole ekranu. Poza tym RRSO znajdziemy w umowie, a również w formularzach informacyjnych, które udostępniają banki i instytucje finansowe.

Bywa też tak, że w przypadku opóźnienia w spłacie kredytu, konsumenci są zobowiązani do spotkania z pożyczkodawcą, pod groź-



Fot. J. Maziejuk

bą kary umownej. Takie praktyki są niedopuszczalne. To kolejny przykład naruszania zbiorowych interesów konsumentów.

Przedsiębiorcy udzielającym pożyczki nie wolno nakładać na konsumenta obowiązków, które nie mają związku z prawidłowym wykonaniem umowy oraz sankcji finansowych za ich niewykonanie. Poprzez groźbę użycia, niezgodnej z prawem, kary pieniężnej przedsiębiorca wywiera na klientów presję, która może ich doprowadzić do podjęcia decyzji, których nie podjęliby w normalnych okolicznościach. Takie działanie jest uznawane za niedozwoloną agresywną praktykę rynkową.

Niedopuszczalny jest również zapis, że brak zawiadomienia przed-

siębiorcy o zmianie danych teleadresowych w terminie 7 dni oznaczał będzie, że: próba kontaktu zgodnie z podanymi danymi osobowymi i/lub teleadresowymi będzie uważana za skuteczną. W rezultacie stosowania tej praktyki konsument może niesłusznie uznać, że oświadczenie pożyczkodawcy (np. wezwanie do uregulowania zaległych płatności) zostało skutecznie złożone, mimo że konsument nie miał faktycznie możliwości zapoznania się z nim. Tymczasem, zgodnie z prawem oświadczenie woli uznaje się za złożone dopiero wtedy gdy dotarło do adresata tak, że faktycznie mógł zapoznać się z jego treścią.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik
Konsumentów

MORSY - INAUGURACJA SEZONU

KORZYBIE, LISTOPAD 2015



Zdjęcia: J. Maziejuk

